

NAMIBIA, BOTSWANA 2009

Relacja z wyprawy

Dzień 1: Windhuk

16.08.2009

Długa droga z Polski na południe Afryki przebiegła bez żadnych problemów. W Johannesburgu mieliśmy na przesiadkę trzy godziny, ale wszystko odbyło się sprawnie i szybko. Dostaliśmy południowoafrykańskie pieczątki, odebraliśmy bagaże i ponownie nadaliśmy je do Windhuk. Wkrótce siedzieliśmy już w kolejnym samolocie, a pod nami rozciągały się rudo-brązowe połacie pustyni Kalahari. Po dwóch godzinach byliśmy wreszcie w Namibii. Lądowanie nie należało do przyjemnych, gdyż przez dwadzieścia minut krążyliśmy nad lotniskiem. Ucieszyłam się, gdy koła samolotu dotknęły wreszcie ziemi. Według czasu namibijskiego (przesuniętego o godzinę do tyłu względem południowoafrykańskiego) była 13.

Lotnisko Hosea Kutako położone jest pośród pustkowia, 40 kilometrów na wschód od stolicy. Nie jest duże i z samolotu do hali przylotów idzie się na piechotę. Odprawa paszportowa była czystą formalnością i już w jej trakcie widziałam, jak na taśmę bagażową wyjechał mój plecak. Nie przeczuwając kłopotów, zaczęliśmy wypatrywać bagaży Agnieszki i Tomka. Czekaliśmy i czekaliśmy, a ich wciąż nie było. Czekaliśmy dalej, aż w końcu pan z obsługi powiedział, że wszystkie bagaże zostały już wyładowane. Plecaki nie przyleciały!. I to nie tylko nasze, ale i kilkunastu innych osób.

Pracownicy biura "Zagubionego bagażu" byli najwyraźniej przyzwyczajeni do takich sytuacji (ponoć na lotnisku w Johannesburgu codziennie gubi się mnóstwo walizek i plecaków). Zapisali adres, pod którym mieliśmy nocować w Windhuk, podali swój numer telefonu i kazali dzwonić.

Cóż było robić - opuściliśmy halę przylotów. Przed wyjściem czekała już na nas Elena z firmy "Elena Travel", w której wypożyczaliśmy samochód. W lotniskowym kantorze chciałam wymienić 20 dolarów, ale nie dość, że oferowany kurs był kiepski (7.78 dolara namibijskiego za jednego amerykańskiego), to jeszcze naliczyli sobie za to jakąś absurdalną prowizję sięgającą 38%. Oczywiście zrezygnowałam.

Półgodzinna droga do Windhuk dawała przedsmak dzikiej Afryki. Po obu stronach szosy rozciągał się żółto-brązowy step, gdzieniegdzie urozmaicony niewysokimi wzgórzami, porośnięty wyschniętą trawą i niskimi krzewami. Co jakiś czas mijaliśmy koryta rzek, czasem bardzo krętych, w których jednak nie było ani kropli wody. Jednym słowem - pora sucha w pełnej krasie. Termometr

wskazywał aż 26 stopni, jednak silny wiatr powodował, że wcale się tego nie czuło.

Elena zawiozła nas prosto do "Cardboard Box Backpackers", hostelu, w którym mieliśmy zarezerwowane miejsca w 9-osobowym dormitorium. Po drodze przejeżdżaliśmy przez centrum Windhuk, które wydawało się zupełnie wymarłe i opustoszałe. Nasz hotel otoczony był wysokim ogrodzeniem, zaś w bramie stał strażnik. Nie wiedzieliśmy, co o tym sądzić - czyżby miasto było aż tak niebezpieczne?

Zostawiliśmy mój plecak, po czym, gnani głodem i potrzebą wymiany pieniędzy, udaliśmy się do centrum. Pierwszym przystankiem był bankomat. W hotelu wisiało ogłoszenie ostrzegające, że turyści padają często w trakcie wybierania pieniędzy ofiarą kradzieży. Dobrze ubrani, uprzejmi młodzieńcy oferują pomoc w obsłudze bankomatu, podpatrują PIN, po czym ulatniają się z kartą. Mam jednak wrażenie, że to straszenie trochę na wyrost, bo my nie widzieliśmy nic podejrzanego, a dodatkowo przy każdym bankomacie siedział strażnik. Fakt, że często strażnikami byli starzy dziadkowie.

Obeszliśmy całe centrum wzdłuż ulicy Independence, wspięliśmy się też do malowniczego luterńskiego kościoła Christuskirche, położonego na skrzyżowaniu ulic Fidela Castro i Roberta Mugabe, dyktatora z Zimbabwe. Potem trafiliśmy na słynny deptak Post St Mall, o tej porze opustoszały i odstraszący zamkniętymi drzwiami sklepów. W końcu odkryliśmy wielki supermarket w galerii handlowej Wernhill Park Centre. Ceny jedzenia były mniej więcej takie, jak w Polsce.

Pod względem urody czarnoskórzy Namibijczycy prezentują się zupełnie inaczej, niż Etiopczycy. Ich czerń jest bardziej ciemna, zaś rysy dużo brzydsze. Z drugiej strony, ze względu na dużą liczbę białych - tak turystów jak i mieszkańców kraju - nie budziliśmy tu żadnej sensacji.

Wróciliśmy do hotelu przed 6. Wkrótce zaszło słońce i o 6.30 było już zupełnie ciemno, a do tego znacznie chłodniej. Za to nad naszymi głowami rozciągało się piękne, czarne jak atrament i rozgwieżdżone niebo.

Tomek usiłował dozwonić się na lotnisko, ale biuro zagubionego bagażu było już zamknięte. Wszyscy mieliśmy nadzieję, że plecaki przylecą jutro. Na kolację zjedliśmy pyszne zapiekanki (hotel dysponował świetnie wyposażoną kuchnią) i, zmęczeni drogą, poszliśmy spać po 20.

Dzień 2: Windhuk → Rehoboth

17.08.2009

Ten dzień został niemal w całości zdominowany przez zagubione bagaże.

O 7 udaliśmy się na wliczone w cenę noclegu śniadanie - dwa cienkie naleśniki z cynamonem i kawę. O 9 przyjechała po nas Elena i zabrała do

siedziby firmy, czyli do swego domu w północnej części miasta. Tam poznaliśmy jej męża Siergieja, z którym korespondował Tomek. Wynajęcie Toyoty Condor na 26 dni (wraz z ubezpieczeniem przedniej szyby i opon oraz stolikiem, krzesłami i zestawem naczyń) kosztowało łącznie 1557 Euro. W zestawie były dwie zapasowe opony. Tomek z Agnieszką podpisali umowę, Siergiej zrobił odcisk ich karty kredytowej (do podarcia po oddaniu samochodu) i już mogliśmy ruszać w drogę.

Pierwszym przystankiem była pobliska stacja benzynowa, gdzie zatankowaliśmy 20 litrów benzyny bezołowiowej 95 (7.14 N\$ za litr). Następnie udaliśmy się do centrum. Na szczęście nie było dużego tłoku i Tomek szybko opanował jazdę lewą stroną ulicy. Stanęliśmy na strzeżonym parkingu przy alei Independence (2 N\$ za godzinę), Tomek został w samochodzie, zaś my z Agnieszką poszliśmy do pobliskiego banku. Wymieniłam 300 dolarów po kursie 7.904 z prowizją 1.26%. Zdecydowanie bardziej opłaca się tu podejmować pieniądze z bankomatu.

Następnie pojechaliśmy do centrum handlowego Gams w dzielnicy Klein Windhuk, gdzie w supermarkecie nakupiliśmy jedzenia za 500 N\$: 3 kilo makaronu (47 N\$), pół kilo spaghetti (8.5 N\$), kilogram ryżu (15 N\$), osiem puszek z gotowymi sosami (10 - 13 N\$), dwie puszek tuńczyka (11 N\$), dżem figowy (23 N\$), ser żółty w plasterkach (12 N\$), mielonkę w parówce (5 N\$), bagietkę (2 N\$), 6 bułek (5.1 N\$), chleb tostowy (6.69 N\$), wodę 5 litrów (20 N\$), kawę 200g (59 N\$), czekoladę (7 N\$), cukier (4.29 N\$), colę 2 litry (14.29 N\$). Potem pojechaliśmy wypożyczyć butlę gazową i palnik w agencji, którą polecił nam Siergiej. Kosztowało nas to dodatkowe 190 N\$.

I wreszcie wyruszyliśmy na lotnisko, mając nadzieję, że zaginione plecaki dotrą do Namibii dzisiejszym lotem z Johannesburga. Agnieszka i Tomek zniknęli w hali przylotów na dobre pół godziny. Wrócili o 14, ale tylko z jednym bagażem - Agnieszki. Zawsze to jakiś postęp, choć akurat ich namiot był w drugim plecaku, podobnie jak śpiwór Tomka, jego karimata oraz wszystkie ubrania. Mimo to zdecydowaliśmy, że już dziś ruszamy na południe, żeby nie tracić cennego czasu. Jednak w związku z tym Tomek musiał sobie kupić trochę rzeczy. Co prawda pracownicy lotniska, a także Siergiej zapewniali, że przysługuje mu odszkodowanie do 100 dolarów za każdy dzień zwłoki w dostarczeniu bagażu, ale i tak można to było odzyskać dopiero po powrocie do Polski.

O 15 opuściliśmy Windhuk i wyruszyliśmy na południe niemal pustą drogą B1. Parę razy zatrzymaliśmy się na robienie zdjęć, gdyż krajobraz był ciekawy i malowniczy. Dojechaliśmy do Rehoboth, położonego 85 kilometrów od stolicy, i zakwaterowaliśmy się na kempingu Reho Spa Recreation Resort (200 N\$ za nas troje), jako jedna z dwóch grup gości. W pół godziny później, o 18, było już ciemno.

Na kolację jedliśmy makaron z sosem pomidorowym i tuńczykiem, potem piliśmy herbatę i graliśmy w karty. Towarzyszyło nam stado dużych i

spasionych kotów. Trudno jednak prowadzić zbyt długo działalność rozrywkową przy świetle latarek. Cóż więc było robić - poszliśmy spać.

Dziś: 220 km

Dzień 3: Rehoboth → Quiver Tree Forest → Hobas

18.08.2009

Wstaliśmy o 6.20. Było już jasno, choć słońce dopiero co wzeszło. O 7 wyruszyliśmy w drogę i po pół godzinie minęliśmy Zwrotnik Koziorożca. O 9 zatrzymaliśmy się na śniadanie "pod drzewem", czyli w przydrożnym miejscu postojowym, wyposażonym w zadaszony stół, krzesła i kosz na śmieci. Miejsca takie oznaczane są brązowymi tablicami z białym symbolem drzewa i pojawiają się średnio co dziesięć kilometrów.

Pogoda dopisywała. Było dość wietrznie, ale słonecznie i z każdą chwilą coraz cieplej. Na błękitnym niebie ani jednej chmurki. Droga B1 świeciła pustkami i, prawdę mówiąc, była dość monotonna, choć krajobraz zmieniał się, prezentując coraz to różne odsłony bezkresnej pustki.

Po 12 dojechaliśmy do Keetmanshoop i odbiliśmy na drogę C17, prowadzącą do lasu drzew kołczanowych. Po raz pierwszy wjechaliśmy na szuter, po którym jednak podróżowało się niemal tak samo dobrze, jak po asfalcie, tyle, że nieco wolniej. My przynajmniej zwolniliśmy, ale inne samochody mijaly nas w tumanach pyłu.

Po kilkunastu kilometrach dotarliśmy do "Quivertree Rest Camp". Właściciele kempingu hodowali dwa gepardy, trzymane na obszernym wybiegu otoczonym siatką. Naszym celem był jednak las drzew kołczanowych. Rośliny te należą do rodziny aloesowatych i mogą sięgać ośmiu metrów wysokości. Nazwa pochodzi od zastosowania, jakie myśliwi z plemienia San znaleźli dla ich gałęzi: otóż robili z nich kołczany na strzały, usuwając miękkie włókniste wnętrze i zostawiając tubę z kory. Na tle niebieskiego nieba drzewa prezentowały się niezwykle malowniczo.

Na tę samą wejściówkę (kosztującą 50 N\$) mogliśmy też pojechać do położonego pięć kilometrów dalej "Placu Zabaw Olbrzyna", czyli prawdziwego labiryntu utworzonego z czerwonych skał, tworzących przedziwne kamienne formacje.

W Keetmanshoop musieliśmy zatankować 38 litrów benzyny (po 7.19 N\$ za litr), kupiliśmy też colę (20 N\$) i smakowite ciasteczka z orzechów w karmelu (5.10 N\$). Miasta południowej Namibii, tak Keetmanshoop jak i wcześniejsze Mariental oraz Rehoboth, według polskich standardów w ogóle nie zasługują na tę nazwę. Są malutkie, niepozorne, z niskimi domkami, jednym sklepem i jedną stacją benzynową. Niestety, obserwując je z samochodu trudno coś powiedzieć o życiu mieszkańców.

Tuż za Keetmanshoop skręciliśmy w drogę B4, prowadzącą do Lüderitz na wybrzeżu Atlantyku, a po kolejnych 40 kilometrach - w szutrową C12 na południe. W drugiej połowie dnia pojawiło się sporo chmur, zaś tam, gdzie zmierzaliśmy, zalegał zwał ciemnych, burzowych cumulonimbusów. Jakby zaraz miało zacząć padać.

Droga była bardzo piękna, zaś największe wrażenie robiły niezwykle malownicze kolory nieba i okolicznych wzgórz. W pewnej chwili ujrzelśmy nawet przepiękną tęczę, rozpiętą nad trapezoidalnym masywem samotnej góry. Tuż po skręcie na wiodącą na południowy-zachód C37 pojawiły się pierwsze zwierzęta: strusie i małe springboki, zwane też antylopami skoczkami. Choć robiło się późno, słońce wkrótce miało zająć i bardzo chcieliśmy być już na kempingu w Hobas, nie mogliśmy się powstrzymać, by co chwila się nie zatrzymywać i nie robić zdjęć.

Wreszcie, po 17, dotarliśmy na Hobas Camp Site. Wbrew naszym obawom miejsca biwakowe wciąż były wolne. Cena noclegu to, jak poprzednio, 200 N\$ za nas troje (50 od osoby i 50 za samochód). Standard kempingu był wysoki, w drewnianych pawilonach mieściły się czyste, oświetlone elektrycznością łazienki oraz aneksy kuchenne ze zlewami do mycia garów. Niestety, wraz z nastaniem nocy zrobiło się tak okropnie, wręcz lodowato zimno, że nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby się kąpać.

W sprawie bagażu nastąpił pewien postęp: plecak Tomka przyleciał już do Namibii i teraz czekał na niego na lotnisku. Zdecydowaliśmy, że zajedziemy po niego w drodze powrotnej z południa, przed udaniem się na Wybrzeże Szkieletów.

Dziś: 641 km

RAZEM: 861 km

Dzień 4: Hobas → Zamek Duwisib → Sesriem

19.08.2009

Kiedy wstaliśmy o 6, było jeszcze szaro i strasznie zimno. Nim jednak odbyliśmy szybką poranną toaletę i spakowaliśmy rzeczy, wzeszło słońce. Załadowaliśmy się do samochodu i ruszyliśmy do kanionu rzeki Fish. Po drodze trochę pokropiło, ale dzięki temu mogliśmy podziwiać piękną tęczę. Widzieliśmy też stadko springboków.

Kanion, największy w Afryce i drugi co do wielkości na świecie, o głębokości dochodzącej do 550 metrów, jest rzeczywiście potężny i robi wrażenie. Szczególnie ładnie prezentował się w promieniach wschodzącego słońca, które, podnosząc się coraz wyżej, powoli oświetlało kolejne partie wąwozu.

O 8.20 wyruszyliśmy w dalszą drogę: najpierw szutrem z powrotem na trasę B4, potem zaś na zachód, w kierunku wybrzeża. Ruch znowu niewielki. O 9 zatrzymaliśmy się na śniadanie "pod drzewem". Było tak zimno, że wysiadając z samochodu włożyłam polar, czapkę i rękawiczki.

Wkrótce dotarliśmy do Goageb i skręciliśmy na północ, w szutrową drogę C14. W Bethanien uzupełniliśmy zapas paliwa (44 litry za 313 N\$), kupiliśmy też chleb (9 N\$) i colę (17 N\$), której picie w czasie jazdy stało się już swoistym rytuałem. Krajobraz był niezwykle urozmaicony i zmieniał się co kilkadziesiąt kilometrów. Najbardziej niesamowite wrażenie robiło jednak niebo, błękitne takim błękitem, jakiego nie widuje się w Europie. Z kolei białe obłoczki wyglądały tak niezwykle plastycznie, że wszystko to razem sprawiało wrażenie, jakby niebo było na wyciągnięcie ręki.

Po drodze do Sesriem chcieliśmy odwiedzić zamek Duwisib, skręciliśmy więc z C14 w D831, a potem w D826. Szutrowe drogi "D" są z definicji gorsze niż "C" i nie wszystkie przejezdne dla samochodu bez napędu na cztery koła. Te dwie jednak miały być, według przewodnika, do pokonania i rzeczywiście, nie natrafiliśmy na nich na nic gorszego niż miejscami nieco chropowata nawierzchnia i trochę płytkiego piachu.

Do zamku dotarliśmy na 14. Przedziwna ta konstrukcja - autentyczny, barokowy pałacyk, strasznie dziwnie wyglądający pośród afrykańskiego pustkowia - została wzniesiona w 1909 roku przez barona Hansa Heinricha de Wolfa. Nie wchodziliśmy do środka, uznawszy, że nie jest to warte 50 N\$ od osoby. Tym bardziej, że mieliśmy inny problem. Okazało się, że z tylnego koła Toyoty schodzi powietrze, Tomek musiał je więc wymienić. Po oględzinach okazało się, że w oponę wbił się jakiś ostry metalowy kolec. W międzyczasie poprosiłam dwie dziewczyny z obsługi zamku, żeby mi pozowały do zdjęcia.

O 15 wyruszyliśmy w drogę do Sesriem. Krajobraz znowu się zmienił, wciąż jednak był tak samo malowniczy. Najpierw jechaliśmy D826, potem, w miasteczku Betta, skręciliśmy w C27 i podążaliśmy już prosto na północ, wzdłuż pasma gór Tirasberge i parku narodowego Namib-Naukluft. Kolory gór prezentowały całą paletę barw, od czerni, poprzez brąz i rudy, aż do żółci. Na wolnych przestrzeniach rozciągała się porośnięta żółtawą trawą sawanna. Zaczęło się też pojawiać coraz więcej zwierzyzny: springboki, oryksy i strusie, spacerujące dostojnie niemal tuż przy drodze albo bez skrepowania przechodzące na jej drugą stronę. Wpadliśmy w istny szal fotografowania i, choć robiło się coraz później, a my wcale nie mieliśmy pewności, czy na kempingu w Sesriem znajdą się dla nas miejsca, zatrzymaliśmy się co chwila na robienie zdjęć. W efekcie do celu dotarliśmy na 18, kiedy już zaczynało zmierzchać.

Miejsca na kempingu na szczęście były, tyle że drogie, bo kosztujące aż 150 N\$ od osoby plus 300 N\$ za samo miejsce. To chyba najdroższy kemping w Namibii, przynajmniej według cennika NWR (Namibia Wildlife Resorts). Rozbiliśmy namiot pod drzewem i wzięliśmy się za gotowanie makaronu, bo

kiszki już od dłuższego czasu grały nam marsza. Nad naszymi głowami pyszniło się rozgwieżdżone niebo. Gdyby nie wiatr, tak silny, że musiałam obciążyć namiot bagażami, żeby mi nie odleciał, byłoby całkiem ciepło.

Dziś: 614 km

RAZEM: 1475 km

Dzień 5: Sesriem → Sossusvlei → Naukluft

20.08.2009

Noc nie należała do najcieplejszych, jednak najgorszy był wiatr, który szarpał namiotem i nie dawał spać. Wyruszyliśmy tuż po 5, w całkowitych ciemnościach, chcąc zdążyć na malowniczy wschód słońca na pustyni. Jechaliśmy pośród Morza Wydm w stronę kanionu Sossusvlei. Po obu stronach drogi, na tle ciemnego nieba, majaczyły stożkowate kształty wydm. W miarę jak niebo na wschodzie jaśniało, kopce nabierały kolorów, przechodzących od głębokiej czerni nocy przez różne odcienie czerwieni.

Kiedy dojechaliśmy do Wydmy 45, było już zupełnie jasno, choć słońce jeszcze nie wychyliło się za horyzontu. Na szczycie diuny zgromadził się już spory tłumek turystów. My także rozpoczęliśmy wspinaczkę i na wierzchołek dotarliśmy akurat w chwili, gdy słońce wyłoniło się zza pasma wydm. Pierwsze promienie wydobyły z pustyni zupełnie nowe, żywe i soczyste kolory.

Ruszyliśmy dalej i po przejechaniu 20 kilometrów dotarliśmy do parkingu. Tu kończyła się droga, jaką mogła podążyć nasza Toyota. Dalej zaczynała się piaszczysta trasa do Sossusvlei, do pokonania jedynie dla samochodów z napędem na cztery koła. Ponieważ transport kosztowałby aż 150 N\$ od osoby, postanowiliśmy przejść ten pięciokilometrowy odcinek na piechotę. Wędrówka okazała się dość męcząca, gdyż przez większość czasu musieliśmy iść po miłkim piachu, tylko gdzieniegdzie utwardzonym płytkimi skałami. Mniej więcej w połowie drogi wyszliśmy na odsłoniętą przestrzeń, po której hulał silny wiatr niosący tumany ziarenek piasku, co dodatkowo utrudniło marsz. Jednak pustynia dokoła zachwycała malowniczością i kolorami, które zmieniały się w miarę, jak słońce wędrowało coraz wyżej po niebie.

Po godzinie wędrówki dotarliśmy do Martwej Doliny. Jest to rozległa niecka otoczona wysokimi wydmami, z dnem pokrytym spękana, białą gliną, z której sterczą poczerńiałe kikuty wyschniętych drzew. Kontrast pomiędzy pomarańczowym piaskiem, jasnym podłożem, błękitnym niebem i czarnymi pniami był naprawdę niezwykle malowniczy.

O 11.40 wróciliśmy kamping. Zapłaciliśmy za nocleg oraz za wstęp na teren parku (80 N\$ od osoby plus 10 N\$ za samochód), zjedliśmy późne śniadanie i w południe opuściliśmy biwak. Pierwszy postój zaliczyliśmy już

kilkadziesiąt metrów dalej, na stacji benzynowej Engen. Zatankowaliśmy 27 litrów benzyny po wysokiej cenie 7.4 N\$ za litr, oddaliśmy też do wulkanizacji przekłute wczoraj koło. Panowie z warsztatu uporali się z nim w piętnaście minut i kosztowało nas to tylko 50 N\$. Kupiliśmy też litr oleju napędowego za 19.2 N\$ i - jakże by inaczej - 2 litry coli.

Z Sesriem wyjechaliśmy na wschód drogą D826, która po jedenastu kilometrach łączyła się z C19. Skręciliśmy na południe i niemal natychmiast natknęliśmy się na dwa strusie, przechadzające się dostojnie pośród traw. Dojechaliśmy do skrzyżowania z drogą D854 i skierowaliśmy się na północny-wschód. Był to najgorszy szuter, jakim do tej pory jechaliśmy, strasznie nierówny i wyboisty. Nasza Toyota trzęsła się i trzeszczała, ale dała sobie radę. Cała podróż zajęła nam jednak aż dwie godziny, choć do przejechania mieliśmy niewiele ponad sześćdziesiąt kilometrów.

Po 16 dotarliśmy do Naukluft. Ledwo wjechaliśmy między góry, natknęliśmy się na grupkę wielkouchych kudu. Sam kamping okazał się bardzo sympatyczny i dość tani (250 N\$ za trzy osoby). Musieliśmy też zapłacić wejściówkę za wstęp do parku narodowego (40 N\$ za osobę i 10 N\$ za samochód). Niezwykle miłe panie z recepcji ostrzegły nas przed pawianami, które odwiedzają kamping w poszukiwaniu jedzenia. Włamują się nawet do namiotów, które w związku z tym lepiej zostawiać otwarte, aby rozłoszczone małpy nie podarły materiału, usiłując dostać się do środka

Przez cały dzień słońce świeciło wręcz oślepiająco, jednak zimny wiatr powodował, że nie czuło się gorąca. Wieczorem zaś zrobiło się bardzo, ale to bardzo chłodno. Choć łazienki były ładne, nikt nawet nie pomyślał o kąpeli. Za to Tomek dowiedział się od przewodnika z obozującej obok włoskiej wycieczki, że plecak mogą mu przywieźć do dowolnego miejsca w Namibii. Bardzo nas to ucieszyło, oznaczało bowiem, że nie musimy tracić czasu na powrót do Windhuk, lecz możemy od razu skierować się w stronę wybrzeża, tak jak pierwotnie planowaliśmy.

Dziś: 261 km

RAZEM: 1736 km

Dzień 6: Naukluft → kanion Kuiseb

21.08.2009

Wstaliśmy o 5.45, kiedy było już prawie jasno. Spakowałam namiot (wolałam nie narażać się na wizytę pawianów) i o 6 wyruszyliśmy na kilkugodzinny trekking po górach Naukluft szlakiem Waterkloof. Droga prowadziła wzdłuż koryta rzeki Naukluft, którą, mimo pory suchej, płynęła przejrzysta, zimna woda. Co jakiś czas mijaliśmy też urokliwe naturalne baseniki. Rano, kiedy było

jeszcze chłodno, nikt nie myślał o kąpieli, ale koło południa, gdy temperatura osiągnęła wskaźniki istic afrykańskie, chęć zanurzenia się w krystalicznie czystej wodzie była coraz silniejsza. Ostatecznie jednak wymoczyliśmy tylko nogi. Na dnie baseników widzieliśmy wielkie kijanki oraz równie wielkie żabska. Natomiast ze skał przyglądało nam się hałaśliwe stado małp.

Do obozu wróciliśmy na 12, akurat, by dostrzec dwa oddalające się z wolna pawiany. Zjedliśmy śniadanie i przed 13 wyruszyliśmy w drogę. Wróciliśmy na D854 i po kilkunastu kilometrach dojechaliśmy do Büllsport, gdzie nasza dotychczasowa trasa krzyżowała się z drogą C14. Niał kontynuowaliśmy jazdę do Solitare. Tutaj trzeba było w końcu wyjaśnić sprawę plecaka i zdecydować, co robimy. Tomek zadzwonił na lotnisko i na szczęście okazało się, że przewodnik miał rację - plecak zostanie dostarczony do dowolnego miejsca w Namibii. Uznaliśmy, że najlepiej będzie odebrać go w niedzielę na Cape Cross.

Zatankowaliśmy benzynę (38 litrów po 7.04 N\$) i kupiliśmy paczkę sześciu świec (20 N\$), gdyż wieczorem światło na stoliku jest niezbędne, zaś latarki lepiej oszczędzać. Wkrótce jechaliśmy dalej na północny-zachód, w stronę kanionu rzeki Kuiseb. Droga była niezwykle ciekawa i malownicza, gdyż praktycznie co kilkadziesiąt kilometrów krajobraz zmieniał się zupełnie. Tuż za przełęczą Gaub minęliśmy ponownie Zwrotnik Koziorożca, tym razem w drugą stronę. Nawierzchnia szosy uniemożliwiała zbyt szybką jazdę, często zatrzymywaliśmy się też na robienie zdjęć, tak więc kiedy wreszcie minęliśmy rzekę Kuiseb, słońce było już dość nisko na horyzoncie.

Nocleg zaplanowaliśmy na kempingu Kriese-se-Rus, położonym tuż przy drodze C14. Jakież jednak było nasze zdumienie, gdy po przyjeździe na miejsce okazało się, że kamping to po prostu kilkanaście miejsc pod drzewami, każde ze stolikiem, siedziskami i koszem na śmieci. I to wszystko - żadnej recepcji, żadnej informacji - nikogo. Dopiero ochłonawszy z zaskoczenia doczytaliśmy w przewodniku, że kempingi w tym regionie tak właśnie wyglądają, zaś płaci się za nie przed przyjazdem w biurze NWR, które również wydaje stosowne zezwolenie. Cóż było robić - musieliśmy nocować na dziko, mając nadzieję, że nikt nas nie nakryje i nie wlepi kary nocleg bez permitu.

Słońce akurat zachodziło w feerii różu i czerwieni. Widok był prawdziwie afrykański: ciemne kształty drzew odcinające się ostro na tle malowniczego nieba. Do pełni fotograficznego szczęścia brakowało tylko sylwetek słoń. Ciemności zapadły bardzo szybko i wkrótce mogliśmy podziwiać gwiazdy. Jedynym źródłem światła były nasze latarki i świeczka. A dookoła - kompletna pustka. Raz czy dwa drogą C14 przejechał jakiś spóźniony samochód, lecz generalnie znaleźliśmy się sami w sercu Afryki.

Choć z ewentualnych niebezpieczeństw najbardziej prawdopodobne było spotkanie z licznymi w okolicy strusiami, tej nocy spaliliśmy w samochodzie.

Dziś: 210 km

RAZEM: 1946 km

Dzień 7: kanion Kuiseb → Walvis Bay → Swakopmund → Mila 72

22.08.2009

Obudziliśmy się wraz ze słońcem i w pół godziny później jechaliśmy już w stronę Walvis Bay i wybrzeża. Sceneria znowu się zmieniła. Najpierw przemierzaliśmy porośniętą żółtymi trawami sawannę, po której przechadzały się wielkie stada strusi i samotny oryks. Potem krajobraz stał się iście pustynny - płasko i piaszczyście aż po horyzont.

Śniadanie jedliśmy przy malowniczej Diunie 7, położonej sześć kilometrów od Walvis Bay. To popularne miejsce rekreacyjne, gdyż ze szczytu wydmy można zjeżdżać na deskach i plastikowych workach. W pewnej chwili na parkingu zjawiała się trzypokoleniowa rodzina z Botswany i wszyscy po kolei przychodzili się z nami przywitać. Po czym całą gromadą, wliczając starsze panie, rozpoczęli wspinaczkę na szczyt wydmy.

My zaś pojechaliśmy do Walvis Bay. Jakiś kilometr od miasta pojawiła się gęsta mgła, widoczność spadła do kilkudziesięciu metrów, do tego zrobiło się zimno i ponuro. Samo Walvis Bay składało się niemal wyłącznie z osiedli jednopiętrowych domków. Większość z nich wyglądała na sezonowo opuszczoną. Jedynym miejscem, jaki chcieliśmy tu zobaczyć, był Pelican Point, wąski cypel, na którym gromadzą się pelikany i flamingi. Ptaków było niewiele, ale za to mogliśmy obejrzeć fabrykę pozyskiwania soli z wody morskiej oraz różne etapy tego procesu, od basenów z oceaniczną wodą poczynając, na kopcach śnieżnobiałej soli kończąc.

Następnie ruszyliśmy na północ, do Swakopmundu. Jechaliśmy asfaltową drogą B2, która - jak na namibijskie standardy - była bardzo zatłoczona. Krajobraz we mgle wydawał się dość ponury, a czarę goryczy przelewało kłuszące zimno.

W centrum Swakopmundu droga B2 skręcała prostopadle na wschód, w głąb lądu. Kilkaset metrów dalej mgła się nagle podniosła i wróciliśmy do takiej Namibii, jaką zdążyliśmy polubić - słonecznej i gorącej. Naszym dzisiejszym celem było miejsce, w którym rosną pustynne rośliny o nazwie welwiczja. Żeby tam dotrzeć, musieliśmy porzucić asfalt i skręcić w szutrową drogę C28, a potem w D1991. Ta ostatnia była wyjątkowo nierówna i miejscami jechaliśmy po niej jedynie trzydzieści kilometrów na godzinę.

Wjeżdżając w tę okolicę należy mieć zezwolenie, wykupione w biurze NWR. Ponieważ w przewodniku nie było o tym mowy, nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, póki nie zobaczyliśmy stosownej informacji na tabliczkach przy drodze. Nie chciało nam się jednak wracać do Swakopmundu, pojechaliśmy

więc "na gapę", mając nadzieję, że nie napatoczymy się na strażników (o ile tacy w ogóle tu są). Po drodze widzieliśmy malownicze formacje skalne, znane jako "Księżycowy Krajobraz", oraz wjazd do kopalni uranu, który jest jednym z cenniejszych bogactw naturalnych Namibii.

Welwiczje to ciekawe rośliny. Występują jedynie na pustynnych terenach w północnej części namibijskiego wybrzeża. Najstarszy okaz, ogrodzony zabezpieczającą siatką, miał aż 1600 lat. Młodsze i mniejsze, rozrzucone gromadnie na dużym terenie, przywodziły na myśl wielkie kraby albo pająki.

O 14 ruszyliśmy w drogę powrotną. Wzdłuż całego wybrzeża wisiał gęsty, biało-szary тумan, wyglądający jak gigantyczna fala tsunami albo ściana dymu. Aż nie chciało nam się tam wjeżdżać. Niestety, droga na Cape Cross wiodła samiutkim brzegiem Atlantyku

W Swakopmundzie wstąpiliśmy do supermarketu i na stację benzynową (zatankowaliśmy 48 litrów po wyjątkowo niskiej cenie 6.89 N\$ za litr). W sklepie uzupełniliśmy zapasy jedzeniowe za kwotę 394 N\$, kupując między innymi kolejną puszkę z sosem (11-12 N\$), serki (12-14 N\$), czekoladę (6.79 N\$), trzy kilogramowe paczki makaronu (10 N\$, w promocji), chleb (5.5 N\$) oraz dwanaście jajek (8.39 N\$ za sześć sztuk), mieliśmy bowiem wielką chęć na jajecznicę. Po czym z ulgą opuściliśmy miasto, dochodząc do wniosku, że najlepiej czujemy się na łonie natury.

Podróż drogą C34 nie była ani ciekawa, ani malownicza. Dookoła zalegała mgła i z każdą chwilą, w miarę jak zbliżał się wieczór, robiło się coraz ciemniej i zimniej. Kamping Jakkalsputz, na którym zamierzaliśmy nocować, okazał się zamknięty. Pojechaliśmy więc dalej i już o zmroku dotarliśmy na kamping Mila 72. Tu także nie było żywej duszy, zaś łazienki zaryglowano na trzy spusty. Dalsza jazda nie miała już jednak sensu i ostatecznie zostaliśmy skazani na kolejny obóz na dziko.

Nie było już jednak tak miło jak wczoraj, bo ponuro, zimno i wietrznie. W związku z tym w samochodzie zaszyliśmy się wcześniej nawet jak na nasze namibijskie zwyczaje.

Dziś: 484 km

RAZEM: 2430 km

Dzień 8: Cape Cross → Brandberg

23.08.2009

Wstaliśmy o 7 i stwierdziliśmy, że pogoda nic a nic się nie zmieniła. Przed 8 bez żalu opuściliśmy Milę 72 i po dwudziestu minutach dojechaliśmy na Cape Cross. Liczyliśmy po cichu, że plecak Tomka będzie już na nas czekał, ale niestety nie było go ani w hotelu, ani w budce strażników z rezerwatu fok.

Pojechaliśmy więc obejrzeć słynną kolonię morskich ssaków. Wstęp kosztował 40 N\$ za osobę plus 10 N\$ za samochód. Pierwszymi zwierzętami, jakie ujrzelśmy, były przychodzące tu polować szakale, jednak już z daleka słyszeliśmy donośne porykiwania fok. Wkrótce okazało się, że jest ich zatrzęsienie. Zalegały całą plażę, śpiąc ciało przy ciele i ogrzewając się nawzajem. Ponieważ byliśmy pierwszymi i, jak na razie, jedynymi gośćmi rezerwatu, zwierzęta nie zdążyły się spłoszyć i wiele z nich leżało nie dalej jak metr od drewnianego pomostu obserwacyjnego. Oprócz tłusciutkich samic i wyróżniających się wielkością samców na plaży było bardzo dużo młodych foczek o połyskliwych, brunatnych futerkach.

Tomek zadzwonił na lotnisko w Windhuk i okazało się, że samochód z plecakiem dopiero wyjechał ze stolicy. Oznaczało to, że nasze oczekiwanie znacznie się wydłuży. O 11 jeszcze raz zaszliśmy do fok, po czym, nad brzegiem morza zjedliśmy przepyszne śniadanie - jajecnicę z cebulką i papryką. Tomek znów dzwonił, tym razem do kierowcy samochodu transportowego. Umówili się na odbiór bagażu o 15.30 koło Hentins Bay, na skrzyżowaniu C34 z drogą C35 do Uis. O 13 pojechaliśmy więc do Hentis Bay i postaliśmy godzinę na zamglonym wybrzeżu. Od 15 czatowaliśmy już na ustalonym skrzyżowaniu i w dwadzieścia minut później, ku ogólnej uldze, plecak Tomka przyjechał.

Raźno ruszyliśmy dalej, ku masywowi góry Brandberg. Minęliśmy Uis i skręciliśmy w szutrową drogę D2359. Na porośniętej trawą i niskimi krzakami równinie pały się stada springboków, zaś na zakończenie dnia mogliśmy podziwiać piękny zachód słońca nad Brandbergiem.

Na kamping White Lady dojechaliśmy już po ciemku. Kosztował 65 N\$ od osoby plus 30 N\$ za samochód i miał być jednym z najtańszych noclegów w trakcie wyprawy. Teren kempingu okazał się ogromny, a do tego bardzo ciekawie urządzone. Miejsca biwakowe były duże i otoczone drzewami, zaś ubikacja i prysznice znajdowały się pod gołym niebem, osłonięte eleganckimi, ceglanyimi murkami. Wodę podgrzewano w kamiennych paleniskach.

Po raz pierwszy wieczór był tak ciepły, że z powodzeniem można było zostać w szortach i w krótkim rękawku. O 20 zjedliśmy późny obiad (oczywiście makaronowy), a potem siedzieliśmy przy świecach i graliśmy w karty. Takie świece to jednak wspaniałe wynalazek.

Dziś: 294 km

RAZEM: 2724 km

**Dzień 9: Brandberg → Organ Pipes → Burnt Mountain
→Twyfelfontein**

24.08.2009

Noc była nadzwyczaj ciepła. Kiedy wstaliśmy o 6, słońce dopiero wschodziło, wyłaniając się zza drzew niczym wielki, czerwony lampion. Szybko zwiniliśmy obóz (tak szybko że zapomnieliśmy zrobić mu zdjęcie) i pojechaliśmy obejrzeć najstynniejszą atrakcję Brandbergu, malowidła naskalne w Wąwozie Tsisab. Przed budką strażnika czekała już grupka dzieci w wieku szkolnym z opiekunami. Co ciekawe, dzieci rozmawiały ze sobą po angielsku.

Po dziesięciu minutach pojawił się przewodnik. Wstęp na teren masywu kosztował 25 N\$. Dołączono nas do grupy szkolnej i razem wyruszyliśmy na przechadzkę ku malowidłom. Już o tak wczesnej porze było gorąco, do tego z każdą chwilą coraz bardziej. Droga wiodła dnem doliny, pośród usypisk pomarańczowych głazów. Jak na Namibię było tu bardzo zielono, między skałami rosły pokryte liśćmi krzewy i pojedyncze drzewa.

Po półgodzinie dotarliśmy do celu. Malowidła z Brandbergu pochodzą sprzed dwóch tysięcy lat i są dziełem Buszmenów. Najstynniejsze z nich to "Biała Dama", która tak naprawdę nie przedstawia kobiety, lecz szamana. Przewodnik bardzo mądrze pouczał dzieci, żeby w pogoni za europejskością i zdobyczami techniki nie zapominały o własnej historii i kulturze.

Opuszczając Brandberg zabraliśmy do samochodu młodego przewodnika, który wracał do domu do Uis. Po drodze mineliśmy dwóch innych, idących w przeciwną stronę. Trzydzieści jeden kilometrów z miasteczka do miejsca pracy przewodnicy muszą nieraz pokonywać na piechotę.

W Uis zatankowaliśmy 48 litrów benzyny po 7.03 N\$ za litr. Udało mi się też kupić cztery baterie AA do latarki za jedyne 20 N\$. Kiedy wyjeżdżaliśmy z parkingu przed sklepem, miejscowi młodzieńcy zaczęli nam pokazywać, że na tylnym kole zrobił nam się "bulb" i oferowali pomoc w naprawie. Tomek obejrzał koło, nie zauważył jednak nic podejrzanego. Doszliśmy do wniosku, że próbowali nas naciągnąć i opuściliśmy miasto, kierując się na północ drogą C35. Nie ujechaliśmy jednak nawet dziesięciu kilometrów, gdy opona spektakularnie pękła i trzeba było wymienić koło.

Krajobraz zdecydowanie się zmienił. Wzdłuż drogi zaczęło się pojawiać coraz więcej wiosek, zaś na poboczu panie sprzedające rękodzieło, ubrane bądź w tradycyjne, rogane stroje ludu Herero, lub też ucharakteryzowane na kobiety Himba. O 12 zatrzymaliśmy się na śniadanie. Zrobiło się okropnie gorąco i wkrótce okazało się, że nasz zapas napojów - dwa litry coli i półtora litra wody - to stanowczo za mało, w związku z czym przez pół dnia strasznie chciało nam się pić.

Naszym dzisiejszym celem były kolejne geologiczne atrakcje regionu: bazaltowe kolumny, "Spalona Góra" oraz słynne malowidła naskalne z Twyfelfontein. Aby do nich dotrzeć, skręciliśmy z drogi C35 na zachód, w D2612. Krajobraz znowu się zmienił, pojawiły się wyższe krzaki, pagórki wyglądające jak gigantyczne kopce poukładane z głazów oraz kolejne osady. W

pewnej chwili zatrzymał nas miejscowy kierowca. Powiedział, że skończyła mu się benzyna, ale że może ją kupić w pobliskiej wiosce. Zaproponowaliśmy, że go podwieziemy, jednak jemu chodziło o coś innego - ponoć nie miał pieniędzy na paliwo. Wydało nam się to podejrzane i uznaliśmy go za naciągacza.

Z D2612 skręciliśmy w D3254 i około 14 dotarliśmy do "Bazaltowych Organów", czyli bazaltowych, pionowo ciosanych skał. Położona w pobliżu "Spalona Góra" wyglądała jak wielka hałda węgla i nie zrobiła na nas żadnego wrażenia. Kolejnym przystankiem było Twyfelfontein. Wstęp kosztował 30 N\$ od osoby i 10 N\$ za samochód, ale malowidła, znacznie ciekawsze niż te z Brandbergu, zdecydowanie warte były zobaczenia. Przewodnik powiedział nam, że pełniły one funkcję swoistego elementarza dla dzieci, które uczyły się w ten sposób wyglądu różnych zwierząt oraz rozpoznawania ich śladów. Jeden z rysunków miał charakter mapy z oznaczonymi oczkami wodnymi.

Postanowiliśmy zanocować na pobliskim kempingu Aba Huab (60 N\$ za osobę i 10 N\$ za samochód). Ponieważ minęła dopiero 16.30, zrobiliśmy małe pranie, mieliśmy też mnóstwo czasu na lekturę. A że wieczór był ciepły, po obiado-kolacji długo graliśmy w karty.

Dziś: 230 km

RAZEM: 2954 km

Dzień 10: Twyfelfontein → Spetryfikowany Las → Vingerklip → Etosza - Halali

25.08.2009

Wstaliśmy o 6 i w godzinę później wyruszyliśmy w drogę. Wyjechaliśmy na C39, skręciliśmy na wschód i o 8 dotarliśmy do spetryfikowanego lasu. W budce sprzedaży biletów nikogo jeszcze nie było, ale panowie od pamiątek powiedzieli, że teraz możemy wchodzić, a zapłacimy później (25 N\$ od osoby). Sam "las" to kilka powalonych pni (jeden cały, reszta w kawałkach), które na skutek długotrwałego zakopania w ziemi i zastąpienia organicznej substancji drewna przez krzemionkę stwardniały tak, że wyglądały jak kamienie.

Po przechadzce zjedliśmy jajecznicę z dwunastu jaj, po czym pojechaliśmy w stronę miasteczka Khorixas. Tam kupiliśmy trzy 5-litrowe baniaki z wodą (25 N\$ sztuka), przejściówkę do trójbolcowych namibijskich kontaktów (25 N\$), colę (17.5 N\$) i kolejny zestaw czterech baterii (15 N\$). W czasie, gdy Tomek dowiadywał się o ceny nowego koła (zastawialiśmy się nad kupnem, gdyż zostało nam już tylko jedno zapasowe), ja z samochodu obserwowałam życie mieszkańców miasta i uwieczniałam je na zdjęciach. Zauważyłam przy tym, że w tradycyjnych strojach ludu Herero chodzą tylko starsze matrony

W drodze do Outjo skręciliśmy z C39 w D2743 i pojechaliśmy zobaczyć Vingerklip, formację skalną w kształcie palca. Wstęp kosztował 15 N\$. Skała znajduje się na szczycie niewysokiego pagórka. Z jego wierzchołka roztacza się wspaniały widok na okolicę - porośniętą niskimi krzewami żółtą sawannę - z której wyrastają trzy majestatyczne góry z płaskimi, jakby ściętymi wierzchołkami.

W Outjo musieliśmy zatankować do pełna, żeby starczyło nam benzyny na trzydniowy pobyt w Etoszy (46 litrów po 7.1 N\$). Następnie skręciliśmy na drogę C38 i ruszyliśmy prosto w stronę parku narodowego. Krajobraz, do tej pory tak ciekawy i różnorodny, teraz zrobił się bardzo monotony; po obu stronach szosy rozciągał się wyschnięty, niski busz w różnych odcieniach żółci i brązu.

O 15 dotarliśmy do Andersson Gate, południowej bramy Etoszy. Siedemnaście kilometrów dalej zameldowaliśmy się na kempingu Okaukejo, gdzie musieliśmy uiścić opłatę za wstęp do parku: 80 N\$ dziennie od osoby plus 10 N\$ za samochód. Po czym wyruszyliśmy w dalszą drogę, w stronę kempingu Halali, na którym mieliśmy nocować. Bramy biwaków zamykane są o zachodzie słońca (czyli około 17.45), a że na terenie całego parku obowiązuje ograniczenie prędkości do 60 km/h, na przejechanie 62 kilometrów wcale nie mieliśmy tak dużo czasu.

Zwierzyna obrodziła. Tuż przed wjazdem do Okaukejo paśło się przy drodze pokaźne stado zebra. W drodze do Halali widzieliśmy ich jeszcze dużo więcej, pojawiły się też oryksy, springboki, a także, ku naszej nieopisanej radości, trzy słonie i kilka żyraf. W okolicy docelowego kempingu zajechaliśmy nad oczko wodne Rietfontein akurat w momencie, kiedy z buszu wychyła spragniona słoniowa rodzina. Sześć osobników (trzy dorosłe i trzy młode) falując uszami podeszło do wody i zaczęło pić, zręcznie posługując się trąbami.

W Halali byliśmy na 17.20. Cena kempingu wynosi 500 N\$ za trzy osoby. Miejsce musieliśmy zarezerwować i opłacić jeszcze w Polsce, z dużym wyprzedzeniem, przez stronę NWR. Tak jak się spodziewaliśmy, kemping był zatłoczony, ale bardzo dobrze wyposażony. Do jego największych zalet należy zaliczyć elektryczną lampkę nad stołem oraz możliwość podłączenia się do kontaktu bezpośrednio na miejscu namiotowym, zaś do wad - wszechobecny biały pył, którym wkrótce pokryte było wszystko: samochód, namioty i my. Kolejną wielką atrakcją kempingu Halali jest bez wątpienia oczko wodne, położone tuż przy ogrodzeniu. W nocy oświetla je kilka mocnych lamp, tak więc przez całą dobę można obserwować życie dzikich mieszkańców parku. A przychodzi ich do wodopoju całkiem sporo. Najczęstszymi gośćmi są duże stada słoni, ale od czasu do czasu pojawiają się i inne zwierzęta, w tym nosorożce.

Dziś: 490 km

RAZEM: 3444 km

Dzień 11: Etosza - Halali

26.08.2009

Wstaliśmy dziś jeszcze przed słońcem i wyjechaliśmy, jak tylko otwarto bramę kempingu o 6.15. Wszystko po to, by obserwować poranną aktywność zwierzyny. Zaczęliśmy od kursu po pobliskich oczkach wodnych. Nad jednym z nich, Goas, widzieliśmy z daleka samotną lwicę. Pojawiły się też impale, kudu, dużo żyraf (jedna przechadzała się po drodze; minęliśmy ją w odległości pół metra), stada zebra i springboków. Przejechaliśmy też szlakiem nosorożców, ale żadnego nie udało nam się dostrzec. Nad kolejnym oczkiem wodnym obserwowaliśmy natomiast samotną żyrafę, która przedstawiała przekomiczny widok. Najpierw bardzo wolno i niepewnie zbliżyła się do brzegu, a gdy już się tam znalazła, zaczęła rozglądać się i obracać dokoła, jakby się czegoś obawiała i w ogóle nie mogła zdecydować, czy zacząć pić, czy nie.

Po 10 wróciliśmy do obozu, zjedliśmy śniadanie (5 bułek kosztowało w kempingowym sklepiku 7 N\$) i do 14 leniuchowaliśmy. W międzyczasie odwiedziliśmy kempingowe oczko wodne, gdzie mieliśmy okazję podziwiać ogromne stada pijących słońi. Wygląda na to, że słońie to bardzo rozumne stworzenia, z rozbudowanym systemem społecznym. Stada (czy może rodziny) przychodzą nad oczko pojedynczo, tak, aby każde mogło się napić bez przepychanek. Gdy oczko jest zajęte, nowo przybyli czekają, aż jego poprzedni użytkownicy zaczną się oddalać. W tym czasie oba stada witają się ze sobą i "rozmawiają". Po dojściu do wodopoju słońie najpierw gaszą pragnienie, a potem zażywają kąpieli albo polewają się wodą. Niektóre tarzają się jeszcze potem w piachu. Najrozkoszniejsze były małe słońiatka: taplały się i przewracały w wodzie, wymachiwały wątlą trąbką, a potem turlały po ziemi.

Po południu znowu wsiedliśmy do samochodu i zrobiliśmy objazd okolicznych oczek wodnych. Przy wodopoju Goas spotkaliśmy stadko żyraf. To zabawne stworzenia. Kiedy piją, szeroko rozstawiają nogi i powoli zginają szyję, by dosięgnąć wody. Zauważyliśmy też, że idąc lubią stawać bardzo blisko siebie, przez co z daleka wyglądają jak wielogłowe smoki. Widzieliśmy też tę samą lwicę, co rano: leżała nad brzegiem i na nic nie zwracała uwagi.

Po zmroku i po makaronowym obiedzie poszliśmy jeszcze raz nad oczko kempingowe. Można odnieść wrażenie, że przybywanie zwierząt do wodopoju to starannie wyreżyserowany spektakl. Wszystko odbywa się w ciszy, tylko czasami przerywanej trąbieniem słońi. Kolejni aktorzy wyłaniają się z mroku, przychodzą nad oczko, piją, po czym znów znikają za kurtyną ciemności. I ciągle pojawia się ktoś nowy: najpierw słońie, potem nosorożec z młodym, potem znów słońie...

Dziś: 240 km

RAZEM: 3684 km

Dzień 12: Etosza - Halali → Etosza - Namutoni

27.08.2009

Wstaliśmy przed 6 i objechaliśmy oczka wodne położone przy drodze do kempingu Namutoni. Wschodnia część parku wydaje się obfitować w zwierzyinę nieco bardziej niż środkowa. Pojawili się nieznani nam dotychczas przedstawiciele namibijskiej fauny: gnu i bawolce (zwane też antylopami krowimi). Tuż przy drodze przechadzały się słonie i żyrafy. Zaś prawdziwy tłok panował przy oczku Chudob: stada impali i springboków, zebry, kudu, gnu, dostojne, krowopodobne elandy, guźce, gromady perliczek. Życie przy wodopoju toczyło się niezwykle spokojnie i harmonijnie: jedne zwierzęta przychodziły, inne odchodziły, nie było walk ani przepychanek. Tylko raz potężne gnu odganiło od wody guźca.

Okolo 11.30 byliśmy w Namutoni. Kemping okazał się bardzo ładny. W przeciwieństwie do Halali namioty rozstawiało się nie na gołej, pylistej ziemi, lecz na trawie. Miejsca biwakowe były tak ogromne, że bez bólu odstąpiliśmy część naszego trójce Niemców, którzy nie mieli rezerwacji.

Po krótkim odpoczynku pojechaliśmy zrobić pętlę na północ od kempingu. O dziwo, najwięcej zwierząt było w okolicy obozu, zaś potem - ani jednego. Przed zachodem słońca zajechaliśmy nad oczko wodne Kleine Namutoni. Z buszu wychyłała para lwów - samiec i samica. Zaległy koło krzaków i póki na drodze do oczka stał rząd samochodów, nie chciały się ruszyć. Położyły się i spały.

Wieczorem musieliśmy ustalić trasę na najbliższe dni. Zdecydowaliśmy, że pojedziemy na zachód, na pogranicze regionu Kaokoveld, zamieszkanego przez plemię Himba. Wiązało się to co prawda z koniecznością zrobienia wielkiej pętli wokół Etoszy, ale uznaliśmy, że zobaczenie jednego z najbardziej charakterystycznych plemion tej części Afryki warte jest trudu.

Dziś: 187 km

RAZEM: 3871 km

Dzień 13: Etosza → Opuwo

28.08.2009

W nocy zrobiło się bardzo zimno. Z kempingu wyjechaliśmy o 6.15, z planem zrobienia pożegnalnej rundki po okolicznych oczkach wodnych. Nad Klein i Groot Okevi widzieliśmy dużego nosorożca, który jednak szybko wycofał się do buszu. Potem ruszyliśmy na północ i o 8.30 dotarliśmy do

północnej bramy parku, Andoni Gate. Ostatnimi zwierzętami, jakie widzieliśmy w Etoszy, były dorodne strusie.

Wjechaliśmy w region Owambo, najgęściej zaludniony w Namibii i zamieszkały przez najliczniejszą grupę etniczną kraju. To dopiero było prawdziwa Afryka: biedna, niezbyt ładna i praktycznie pozbawiona białych. Mijane wioski i miasteczka składały się niemal wyłącznie z "barów", czyli pudełkowatych, kamiennych bud, pomalowanych na najróżniejsze kolory i opatrzonych najdziwniejszymi nazwami, jak na przykład: "McGyver Bar", "Sun Set Bar", "Kilimanjalo Bar" (pisownia oryginalna). W jednej z większych miejscowości rzucił się nam w oczy supermarket o wdzięcznej nazwie "Supa Dupa". Turyści chyba rzadko odwiedzają tę część Namibii, gdyż w miasteczku, w którym kupowaliśmy colę (15 N\$) i ciasto drożdżowe (15 N\$) wzbudziliśmy duże zainteresowanie.

Krajobraz nie należał do najciekawszych: płaski, suchy i piaszczysty. Za to asfalt na drodze B1, wiodącej na północny-zachód ku granicy z Angolą, był bardzo dobry, poruszaliśmy się więc szybko. Jedyne utrudnienie i potencjalne niebezpieczeństwo stanowiły krowy, osły i kozy, które wałęsały się tuż przy drodze i miały nieprzyjemny zwyczaj włożenia na asfalt. Sama B1 też była zatłoczona, zwłaszcza na odcinku do Ondangwy i Oshikati. Na poboczach stało mnóstwo ludzi czekających na podwiezienie - to w tym regionie najpopularniejszy i najszybszy sposób przemieszczania się z miejsca na miejsce. Przed Oshikati zatankowaliśmy 53 litry benzyny za 7.07 N\$ i kupiliśmy olej napędowy (20 N\$).

Drogą B1 dojechaliśmy w okolice miasta Ruacana pod granicą angolską, po czym skręciliśmy na południe, w szutrową C35. Tutaj od razu poczuliśmy się bardziej swojsko, zrobiło się bowiem pusto i buszowato, tak jak w Etoszy, z tym, że zamiast dzikiego zwierza dookoła wałęsało się bydło. Po przejechaniu 85 kilometrów skręciliśmy na zachód w asfaltową drogę C41 i o 16 dojechaliśmy do Opuwo, stolicy krainy Himba.

Nocowaliśmy na kempingu Oreness (65 N\$ od osoby), bardzo spokojnym i sympatycznym, mimo że położonym niemal w centrum miasteczka. Właścicielem przybytku był Francuz, zaś w recepcji pracowali miejscowi młodzi ludzie. Okazało się, że tutaj, podobnie jak w Etiopii, imię Kamila jest znane za sprawą jakiejś słynnej aktorki.

Rozbiwszy namioty poszliśmy do wielkiego, dobrze zaopatrzonego supermarketu i kupiliśmy lokalne piwo (9 N\$ za 750 ml), sok z guawy (23.69 N\$) i ogórki konserwowe (20.7 N\$). W sklepie nawiązaliśmy kilka znajomości. Najpierw zagadnął nas chłopak, który dowiedziawszy się, że jesteśmy z Polski, powiedział "dzień dobry". Okazało się, że studiował w Anglii i tam poznał naszych rodaków. Zagaiła nas też pani sprzedająca pamiątki. W ogóle ludzie wydawali się mili i często zagadywali nas popularnym "How are you?". To chyba pierwsze miejsce w Namibii, gdzie mieliśmy taki kontakt z lokalnymi mieszkańcami, a nie z turystami lub białymi.

Wizyta w "centrum" wiązała się ze smutną koniecznością podjęcia w bankomacie 500 N\$, gdyż pieniądze wymienione w Windhuk już się niestety skończyły.

Na kempingu mieliśmy do dyspozycji wielki stół oświetlony elektryczną lampą, mogliśmy więc miło spędzić wieczór na jedzeniu, lekturze i grze w karty. Zaś następnego dnia postanowiliśmy pojechać w odwiedzinach do wioski plemienia Himba (100 N\$ od osoby).

Dziś: 554 km

RAZEM: 4425 km

Dzień 14: Opuwo → Otjitotongwe

29.08.2009

Do wioski Himba wyruszyliśmy w towarzystwie Westerna, chłopaka z recepcji kempingu, który miał pełnić rolę przewodnika. Pierwszym przystankiem był znany nam już supermarket, gdzie za 168 N\$ kupiliśmy "dary" dla mieszkańców wioski: dwudziesto-kilogramowy wór mączki kukurydzianej, kawę, cukier i chleb.

Po drodze Western opowiedział nam trochę o historii i stylu życia ludu Himba. Pod względem etnicznym są oni blisko spokrewnieni z Herero, mają nawet z nimi wspólny język. Nazwa plemienia oznacza po angolsku "żebrak". Kiedy przed dwustu laty pierwsi Himba przybyli do północno-zachodniej Namibii, zostali zaatakowani i ograbieni przez plemię Nama. Przenieśli się więc na południe współczesnej Angoli, prosząc, a wręcz żebrząc o pomoc. Dzisiaj w Namibii mieszka 20 tysięcy przedstawicieli tego ludu, pozostałych 5 tysięcy w sąsiedniej Angoli.

Współcześni Himba wciąż żyją tak, jak ich przodkowie, bez zdobyci cywilizacji. Ich kopulaste chatki robione są z drewnianych palików, oblepianych gliną wymieszaną z krowim łajnem. Z tego samego materiału buduje się również spiżarnie na suszoną kukurydzę. Himba utrzymują się z tego, co sami wyhodują lub wytworzą z naturalnych składników. Mają bydło, uprawiają warzywa. Nie używają syntetycznych lekarstw, lecz wykorzystują lecznicze właściwości niektórych roślin. Na przykład liście jednego z rosnących tu drzew pomagają na ból żołądka oraz mają działanie antymalaryczne. Nie używają pieniędzy, zaś okazyjny handel z innymi ludami oparty jest na wymianie. Owambo zaopatrują się u nich w wyprawiane skóry, w zamian dostarczając koce i płócienne torby.

Jedną wioskę zamieszkuje jedna rodzina. Na jej czele stoi mężczyzna, który może mieć dowolną liczbę żon. Pierwszą wybierają mu rodzice, o następnych decyduje już sam. Kiedy przyjechaliśmy do wioski, były w niej tylko kobiety w różnym wieku oraz dzieci. Część zaganiały krowy do dojenia, jedna z pań wyrabiała masło, ubijając je w skórzanym bukłaku. Mogliśmy robić zdjęcia, do których - jak wszędzie na świecie - najchętniej pozowały maluchy.

Himba smarują ciało brązową gliną (ochrą) wymieszaną z masłem. Chronią w ten sposób skórę przed kurzem i słońcem, czyniąc ją jednocześnie gładką i miękką. Kobiety nacierają się dwa razy dziennie, mężczyźni - kilka razy w tygodniu, i to nie sami, lecz rękami swych żon. Stopień nasmarowania gliną może więc świadczyć o stosunkach panujących w rodzinie. Chłopcy podlegają obrzezaniu. Póki to nie nastąpi, noszą naszyjniki z kości strusia. Włosy dziewczynek są podgolone z tyłu i po bokach, zaś pozostałe splecione w dwa sterczące do przodu i wysmarowane gliną rogi. Mężatki mają włosy długie, wygolone nad czołem, splecione w grube warkoczyki z wielkimi chwostami na końcach.

Western nauczył nas kilku słów w języku Himba. I tak "cześć" to moro, zaś "dziękuję" - okuhepa. Okazało się, że on sam wywodzi się z tego plemienia, jednak, jak coraz większa liczba młodych ludzi, pojechał uczyć się do miasta i już nie wrócił do rodzinnej wioski.

O 10 byliśmy z powrotem w Opuwo. Zatankowaliśmy benzynę (36 litrów po 7 N\$) i ruszyliśmy na trasę, najpierw z powrotem drogą C41, a potem asfaltową C35 na południe, w stronę Kamanjabu. Na farmie Kalita chcieliśmy obejrzeć chore lwy, które są tam pielęgnowane. Niestety, okazało się, że musielibyśmy tu nocować (kamping za 200 N\$ od osoby), była jednak dopiero 14 i nie uśmiechało się nam tracić połowy dnia. Pojechaliśmy więc dalej i 24 kilometry za Kamanjabem zajechaliśmy na kolejną farmę, Otjitotongwe, na której można zobaczyć dzikie i oswojone gepardy. Ośmiokilometrowy dojazd od głównej drogi C40 był wyzwaniem dla naszej Toyoty, ale dała sobie radę.

Właścicielami farmy są Afrykanerzy. Hodują oswojone gepardy (dwa dorosłe i jednego małego), które zachowują się jak domowe koty, chodząc swobodnie po całym obejściu. Dają się pogłaskać, a jeden postanowił wylizać Agnieszkę. Kiedy właściciel przyniósł im w wiadrze krwiste, surowe mięso, gepardy natychmiast zajęły się jedzeniem, nie używając przy tym w ogóle łap. Gdy skończyły, na ogryzione kości rzucił się mały, jamnikowaty pies. Oprócz gepardów na farmie hodowane są strusie oraz młoda żyrafa, której akurat nie było, gdyż zwykła spacerować swobodnie po okolicy

Kamping (150 N\$ od osoby) znajdował się trzy kilometry od farmy. Byliśmy na nim jedynymi gośćmi. Cena noclegu obejmowała jutrzejsze poranne oglądanie dzikich gepardów, a jego namiastkę mieliśmy już dzisiaj: tuż za ogradzającą teren kempingu siatką widzieliśmy gepardzią matkę z trójką młodych kotków.

Dziś: 368 km

RAZEM: 4793 km

Dzień 15: Otjitotongwe → Grootfontein

30.08.2009

Tym razem noc była ciepła, więc z przyjemnością leniuchowałam w śpiworze do 7.40. Bez pośpiechu zjedliśmy śniadanie, spakowaliśmy manatki i przed 9 byliśmy gotowi do wyjazdu na oglądanie gepardów. Oprócz nas uczestniczyła w nim kilkunastoosobowa grupa Włochów z dziećmi. W czasie jazdy staliśmy na przyczepie terenowego samochodu, z której mieliśmy bardzo dobry widok na okolicę. Szefem wyprawy był Mario, syn właścicieli farmy.

Dzikie gepardy, w liczbie dwudziestu dwóch, przebywają na dużym, ale ogrodzonym terenie. To dla nich jedyna szansa na przetrwanie, gdyż dopóki żyły na swobodzie i atakowały bydło farmerów, były przez nich bezlitośnie tępione i niemal wyginęły. Dzisiaj muszą być dokarmiane przez ludzi, gdyż na ogrodzonym obszarze nie ma dla nich wystarczającej ilości zwierzyny.

Po 10 opuściliśmy Otjitotongwe, żegnani przez żyrafę, która ze stoickim spokojem siedziała pod płotem i coś przeżuwała. W godzinę później byliśmy w znanym nam już Outjo, gdzie zatankowaliśmy 43 litrów benzyny (7.1 N\$ za litr) oraz kupiliśmy colę, chleb i masło czosnkowe. Do Otavi pojechaliśmy szutrową C39, chcieliśmy bowiem po drodze zobaczyć jaskinię Gamkarab. Niestety, podobnie jak u lwów, warunkiem wstępu był nocleg, musieliśmy więc zrezygnować.

Krajobraz wzdłuż C39 był monotony i nieciekawym. Bardziej interesująco zrobiło się dopiero za Otavi, na asfaltowej i dość zatłoczonej (jak na Namibie) drodze B8 do Grootfontein. Wjechaliśmy między malownicze, brązowe wzgórza Otaviberge, po czym w długą dolinę, porośniętą rozłożystymi, sawannowymi drzewami. Naszym celem był meteoryt Hoba, największy taki obiekt odkopany dotychczas na Ziemi. Skręciliśmy więc w szutrową D2860, a potem w D2859. Meteoryt znajdował się na terenie prywatnej farmy. Wstęp kosztował 15 N\$.

Po kilkunastu minutach oglądania kosmicznego głazu znowu załadowaliśmy się do samochodu i drogą D2859 dojechaliśmy do asfaltówki C42. Po kolejnych czterech kilometrach wjeżdżaliśmy już do Grootfontein. W samym mieście nie mieliśmy nic do załatwienia, pojechaliśmy więc od razu na kamping Die Kraal, położony sześć kilometrów na północ od centrum, przy drodze B8 do Rundu. Pole namiotowe znajdowało się w przestronnym ogrodzie domostwa należącego do pary starszych Niemców. Nocleg kosztował 50 N\$ od osoby i tego wieczora byliśmy na nim jedynymi gośćmi. Właściciele przybytku okazali się bardzo sympatyczni. Starszy pan doradził nam, żeby Wodospady

Wiktorii oglądać od strony Zimbabwe. Widok jest ponoć lepszy niż z Zambii, zaś kraj bezpieczny i przyjazny turystom.

Wieczorem zrobiło się tak strasznie zimno, że nawet nie chciało mi się długo grać w karty i szybko zaszyłam się w namiocie.

Dziś: 450 km

RAZEM: 5243 km

Dzień 16: Grootfontein → Popa Falls → Rezerwat Mahango

31.08.2009

Nad ranem zrobiło się bardzo zimno, a że obudziłam się o już 4 i nie mogłam zasnąć, pobudkę o 6 powitałam z radością. Wyruszyliśmy przed 7 i na 10 dotarliśmy do Rundu. Trzygodzinna droga była okropnie nudna - prosta jak drut, wiodła przez nieciekawy, płaski teren porośnięty wyschniętą roślinnością. Dopiero w końcowej fazie wzdłuż szosy zaczęły się pojawiać małe wioski. Każda z nich składała się z kilku okrągłych, zbudowanych z gałęzi i krytych strzechą chat, otoczonych ogrodzeniem z długich i cienkich palików.

W supermarkecie w Rundu uzupełniliśmy zapasy jedzeniowe za 400 N\$, zatankowaliśmy też 49.5 litra benzyny (po 7.07 N\$). Mieszkańcy tej części Namibii pod względem aparycji różnią się od swych rodaków z południa i centrum. Muszę też przyznać, że wydają się (podkreślam: wydają się) dużo mniej sympatyczni. Nawet dzieci mają bardzo twarde i właściwie nieładne rysy twarzy. Z kolei młodzi mężczyźni gołą się bardzo krótko, niemal do gołej skóry, i chyba właśnie te fryzury sprawiają, że nie budzą zaufania.

Za Rundu droga B8 skręca prosto na wschód i wjeżdża na przesmyk Caprivi, wąski pasek Namibii wrzynający się między Angolę i Zambię na północy oraz Botswanę na południu. Po 11 zatrzymaliśmy się "pod drzewem" na śniadanie, po raz pierwszy urozmaicając serki smakowitą wędliną. Wkrótce jechaliśmy dalej. Droga nadal była okropnie monotonna, a krajobraz - co tu dużo mówić - po prostu brzydki. Po obu stronach rozciągały się lasy drzew liściastych w kolorach brązu i żółci, strasznie wysuszone, a niekiedy wręcz wypalone do gołej ziemi.

Około 13 dojechaliśmy do małej miejscowości Divundu i skręciliśmy w drogę C48, wiodącą wzdłuż rzeki Okavango do granicy z Botswaną. Kilka kilometrów dalej zatrzymaliśmy się przy wodospadach Popa. Wstęp kosztował 20 N\$ od osoby. Wodospady nie były zbyt ciekawe - właściwie to bardziej porohy niż kaskady - jednak wizyta nad rzeką stanowiła miłe urozmaicenie dotychczasowej wyprawy.

O 14 dotarliśmy na kamping Ngepi, położony nad brzegiem Okavango, cztery kilometry od głównej drogi. Przejechanie tym szlakiem stanowiło pewne

wyzwanie dla naszej Toyotki, ale dała sobie radę. Zaklepaliliśmy miejsce biwakowe tuż nad wodą (85 N\$ od osoby) i od razu pojechaliśmy do pobliskiego rezerwatu Mahongo, położonego tuż przy granicy z Botswaną. Do bramy wjazdowej dotarliśmy na 15.15. Wstęp kosztował 40 N\$ od osoby plus 10 N\$ za samochód. Na zwiedzanie mieliśmy czas do zachodu słońca. Według przewodnika w rezerwacie można zobaczyć licznych przedstawicieli afrykańskiej fauny: słonie, bawoły, lamparty, lwy, hipopotamy i krokodyle. My aż tylu zwierząt nie spotkaliśmy, ale pewnie dlatego, że z naszym samochodem bez napędu na cztery koła mogliśmy przejechać tylko niewielki kawałek parku. Widzieliśmy jednak dużo kopytnych, wielkie stado pawianów, słonia rozszarpującego drzewo i, daleko w rzece, uszka hipopotama. Zatrzymaliśmy się też na trochę przy potężnym, rozłożystym baobabie.

Słońce zaszło o 17.20, tak więc namioty rozbijaliśmy już po ciemku. Kamping Ngepi okazał się jednym fajniejszych miejsc biwakowych. Nie dość, że położony w bardzo ładnej okolicy, to jeszcze naprawdę ciekawie zrobiony. Łazienka znajdowała się za bambusowym parawanem, bez dachu, ale za to jasno oświetlona i z gorącą wodą. Zaś ubikacja wznosiła się na drewnianym podwyższeniu niczym prawdziwy tron.

Kiedy wieczorem siedzieliśmy przy stole, z płynącej kilka metrów dalej rzeki zaczęły dobiegać głośne chlupotania i porykiwania. Co więcej, odnosiliśmy wrażenie, że sprawcy tych odgłosów - bez wątpienia hipopotamy - przesuwają się z wolna w kierunku brzegu. Zaraz przypomniałam sobie opowieści o hipopotamach pożerających ludzi. Głos rozsądku podpowiadał wprawdzie, że twórcy kempingu na pewno zadbali o to, aby brzeg był wystarczająco stromy i uniemożliwiał nieproszoną wizytę, wrażenie jednak było niesamowite. Tym bardziej, że hipopotamy wyraźnie ożywiały się z nastaniem nocy, ryczały coraz donośniej i z każdą chwilą coraz bliżej. A jakby tego było mało, coś zaczęło się kotłować w przybrzeżnych trzcinach.

Dziś: 568 km

RAZEM: 5811 km

Dzień 17: Mahango → Kasane

01.09.2009

W nocy miałam wrażenie, że hipopotamy otaczają nas ze wszystkich stron, rycząc przy tym donośnie i bynajmniej nie przyjacielsko. Najwyraźniej jednak było to tylko złudzenie, gdyż nic nas nie zaatakowało.

Wstaliśmy po 6 i już o 7 byliśmy na drodze. W Divundu czekała nas mała niespodzianka, gdyż na stacji benzynowej nie było paliwa. Na szczęście

mieliśmy zapas wystarczający na przejechanie 169 kilometrów do Kongoli, gdzie na szczęście udało nam się zatankować 35 litrów po 7.07 N\$ za litr.

Po wyjechaniu za miasto zatrzymaliśmy się na popas. Krajobraz nadal był nieciekawym. Do Katima Mulilo przy granicy z Zambią dotarliśmy w południe. Kupiliśmy colę (11 N\$), ponownie zatankowaliśmy (za 200 N\$), podpompowaliśmy oponę i powróciliśmy na drogę B8, która teraz skręcała na południe, do Ngoma Bridge i Botswany.

Na granicy wszystko odbyło się sprawnie i szybko. Wiz nie potrzebowaliśmy, musieliśmy jedynie zapłacić 240 N\$ za wwiezienie samochodu. Most między punktami kontrolnymi obu krajów biegł nad szeroką, zieloną doliną rzeki Chobe. Na jej zboczach rosły dorodne baobaby.

Tuż za botswańską strefą graniczną zaczyna się słynny Park Narodowy Chobe. Tranzyt przez teren rezerwatu jest bezpłatny, o ile nie zjeżdża się z asfaltowej drogi. Stan nawierzchni okazał się nieco gorszy niż w Namibii, gdzieś tam nawet musieliśmy omijać swojsko wyglądające dziury. Zwierzyny nie było dużo, widzieliśmy jedynie parę guźców, żyrafę i samotnego strusia.

Okolo 16 dotarliśmy do Kasane. W centrum wzięliśmy pieniądze z bankomatu (150 puli) i pojechaliśmy na kamping Toro Lodge. Nocleg kosztował 65 puli od osoby. Z recepcji i baru roztaczał się ładny widok na rzekę Chobe, jednak samo miejsce kampingowe nie umywało się do tych w Namibii.

Ciemno zrobiło się dopiero o 18.30, gdyż w Botswanie czas jest przesunięty względem namibijskiego o godzinę.

Dziś: 516 km

RAZEM: 6327 km

Dzień 18: Kasane → Victoria Falls

02.09.2009

Wstaliśmy po 7, zjedliśmy makaron z jajkiem, który został nam z wczorajszej kolacji, i o 8.40 byliśmy w centrum Kasane, przed bankiem. Wymieniłam 150 dolarów po kursie 6.54 puli za dolara. W sąsiednim supermarkecie kupiliśmy trzy 5-litrowe butle wody (10.45 P) i colę (12.95 P). Woda jest tu o dziwo znacznie tańsza niż w Namibii.

Tak zaopatrzeni, pojechaliśmy na granicę z Zimbabwe. Po stronie botswańskiej odprawa poszła błyskawicznie, po zimbabweńskiej trafiliśmy niestety na autobus pełen turystów i musieliśmy trochę poczekać na kupno wizy. Na szczęście procedura jej przyznawania jest bezproblemowa i kolejka poruszała się szybko.

Wiza 30-dniowa kosztuje 30 dolarów. Za samochód musieliśmy zapłacić dodatkowe 21 dolarów. Myśleliśmy, że to już wszystko, okazało się jednak, że graniczny interes kwitnie w najlepsze. Naprzeciwko oficjalnych budynków celników stało drewniane, zadaszone podwyższenie, okupowane przez kilku zimbabweńskich jegomości. Wszyscy kierowcy byli do nich wzywani i informowani, że muszą zapłacić jeszcze dodatkowo 80 dolarów za różne dziwne usługi, takie jak ubezpieczenie, "clearing" i coś jeszcze. Wyglądało to mocno podejrzanie, zupełnie jak jakaś spontaniczna kooperatywa przedsiębiorczych Zimbabweńczyków. Albo raczej - mafia. Niestety, płacenia w żaden sposób nie dało się uniknąć, zresztą wszyscy przekraczający granicę byli pod tym względem traktowani tak samo. Agnieszka natomiast widziała, jak już po naszym odejściu wręczone przed chwilą banknoty zostały szybko podzielone pomiędzy "pracujących" na platformie mężczyzn.

Droga do miasta Victoria Falls była dość monotonna, choć, w przeciwieństwie do płaskiej Botswany, teraz jechaliśmy przez niewysokie wzgórza. Na miejsce dotarliśmy o 11. Zakwaterowaliśmy się w przyjemnym Shoestring Lodge, gdzie za kamping płacono się 5 dolarów od osoby. Ze względu na galopującą inflację miejscowej waluty wszystkie ceny podawane są tu w dolarach.

W południe poszliśmy obejrzeć Wodospady Wiktorii na rzece Zambezi. Wejście do parku położone jest tuż za centrum miasta i można do niego dojść na piechotę. Po drodze dołączył do nas pan w mundurze policji turystycznej i odprowadził aż pod sama bramę. Niczego od nas nie chciał, więc może mają tu po prostu obowiązek kontrolowania turystów.

Wstęp do Parku Narodowego kosztuje 20 dolarów, ale zdecydowanie wart jest tych pieniędzy. Wodospady Wiktorii, figurujące na liście dziedzictwa światowego UNESCO, są naprawdę imponujące. Szerokie na 1,7 kilometra, wysokie na 111 metrów, uznawane są za jeden z naturalnych cudów świata. W porze deszczowej spadająca w dół Zambezi tworzy jedną wielką ścianę wody. Nie jest to jednak najlepszy czas na oglądanie wodospadów, gdyż unosząca się znad rozpadliny mgiełka ogranicza widoczność niemal do zera. Teraz, w porze suchej, wody było mniej i spływała szeregiem oddzielnych kaskad. Widok robił wrażenie. Stwierdziliśmy też, że decyzja o oglądaniu wodospadów od strony zimbabweńskiej była trafna. Z tej perspektywy widzi się je en face, na całej niemal szerokości.

W Parku Narodowym zabawiliśmy dwie godziny. Popołudnie mieliśmy spędzić żeglując po Zambezi na wycieczkowej łodzi (40 dolarów od osoby). O 16 na kamping podjechał busik i zabrał nas na nabrzeże. Kiedy zbliżaliśmy się do traju (nasza trójka i kilku innych turystów), trzech młodzieńców w skąpych, tradycyjnych strojach z piór zaczęło śpiewać jakieś miejscowe pieśni. Na łodzi, a właściwie na wielkim, zadaszonym katamaranie, stało kilka stolików. Napoje oraz przekąska wliczone były w cenę przejażdżki. Skosztowaliśmy więc smacznego piwa "Zambezi" oraz panierowanych kawałków mięsa krokodyla.

Jednak za największą atrakcję rejsu należy uznać widoki. Już sama rzeka, szeroka i majestatyczna, z brzegami porośniętymi soczyście zieloną dżunglą, była bardzo malownicza. Do tego mieliśmy okazję zobaczenia dzikich zwierząt: krokodyli, słoni (które umieją pływać i w ten sposób przeprawiają się na rzeczne wysepki) oraz kilku zanurzonych po szyję hipopotamów. Na zakończenie mogliśmy podziwiać przepiękny zachód słońca. Słowem, bardzo udana wycieczka.

Po powrocie na kamping wzięliśmy się za gotowanie makaronu, korzystając z dobrodziejstw kampingowej kuchni. Zgrałam też zdjęcia z jednej karty pamięci, gdyż wszystko wskazuje na to, że zrobię ich jeszcze bardzo dużo.

Dziś: 104 km

RAZEM: 6431 km

Dzień 19: Victoria Falls → Kasane

03.09.2009

Poranek spędziłam leniwie, gdyż Aga z Tomkiem pojechali z samego rana na "spacer między lwami" (100 dolarów od osoby). Celem programu jest odchowanie młodych drapieżników, a potem wypuszczenie ich na wolność. Przy okazji Tomek dowiedział się od innych turystów, że podejrzaną opłatą za wjazd samochodem do Zimbabwe trzeba uiszczać na każdej granicy.

O 10 wyruszyliśmy w drogę powrotną do Botswany. I kiedy tak sobie spokojnie jechaliśmy, trochę znudzeni monotonią krajobrazu, nagle w buszu po lewej stronie szosy zobaczyłam duże stado słoni. Zatrzymaliśmy się natychmiast, podekscytowani spotkaniem, a tymczasem słonie wychyły z krzaków i zaczęły przechodzić przez drogę równą kolumną, zaledwie kilkadziesiąt metrów od nas. Widok był niesamowity a stado ogromne, liczące chyba ze czterdzieści osobników, zarówno dorosłych, młodych, jak i zupełnych jeszcze dzieci. Kilka samców pełniło najwyraźniej rolę ochroniarzy, gdyż idąc obserwowały nas uważnie, co pewien czas odwracając się ku nam przodem i groźnie potrząsając uszami i trąbą. Ta scena na długo zapadła mi w pamięci.

Odprawa na granicy poszła szybko i sprawnie i już o 12 byliśmy w Kasane. Tym razem zakwaterowaliśmy się na kempingu w Kubu Lodge ("kubu" to po botswańsku hipopotam), też nad rzeką, za 66 puli od osoby. Od razu zapisaliśmy się na popołudniową wycieczkę to Parku Narodowego Chobe (254 puli od osoby, z wliczoną wejściówką). Był to jedyny sposób na zobaczenie jednego z najsłynniejszych rezerwatów regionu, gdyż wszystkie tamtejsze drogi dostępne są wyłącznie dla samochodów z napędem na cztery koła. Potem

pojechaliśmy do centrum i w znanym nam już supermarkecie kupiliśmy Colę (12.95 P), chleb (6.95 P), pieróg z warzywami (10.95 P) oraz czekoladę 6.75 P).

Sądząc po liczbie plakatów wyborczych rozwieszonych w mieście i wzdłuż drogi dojazdowej, w Botswanie odbędą się niebawem wybory parlamentarne. W Kasane najczęściej pojawia się na nich niejaki Duncan Mlazi z Partii Demokratycznej, popierany przez samego prezydenta kraju.

O 14.45 wyruszyliśmy do parku narodowego. Oprócz nas wysokim, odkrytym samochodem jechała jeszcze tylko para Szwajcarów, tak więc warunki do fotografowania mieliśmy wyśmienite. Trasa przejażdżki wiodła wzdłuż rzeki Chobe. O tej porze dnia aż gęsto tam było od zwierzyny. Widzieliśmy ogromną liczbę stad słońi, zgromadzonych zarówno nad brzegiem rzeki, jak i na jej licznych wysepkach. Koło kilku przejeżdżaliśmy niemal na wyciągnięcie trąby. Dwa młode samce walczyły dla zabawy na samym środku drogi, napierając na siebie głowami i usiłując przepchnąć jeden drugiego. Na nasz widok rozdzieliły się i z pewnym zaniepokojeniem obserwowały przejazd samochodu.

Na nadbrzeżnej trawie wylegiwały się ogromne hipopotamy. Pojawiły się też żyrafy, impale i stado pawianów, które piły wodę z kałuży, śmiesznie wypinając gołe zadki. Pod krzakiem widzieliśmy śpiącego na grzbiecie lwicę. Kolejne stada słońi spacerowały po buszu. Coś niesamowitego, ile ich tu jest. Ale chyba nie ma się co dziwić, skoro liczebność botswańskiej populacji słońi wynosi aż 120 tysięcy. A na zakończenie wycieczki znowu mogliśmy podziwiać zachód słońca.

Na miejscu kampingowym mieliśmy światło elektryczne, wieczór spędziliśmy więc na grze w karty. Z kąpieli niestety musiałam zrezygnować, gdyż w łazience - skądinąd ładnej i czystej - pełno było pajaków. Wieczorem przyszedł do nas strażnik, przywitał się i powiedział, że nie musimy bać się hipopotamów, gdyż on przez całą noc będzie czuwał nad naszym bezpieczeństwem. Cóż, po przeżyciach na Ngepi niewiele mogło nas przerazić.

Dziś: 105 km

RAZEM: 6536 km

Dzień 20: Kasane → Gweta

04.09.2009

Ten dzień nie był zbyt interesujący i upłynął głównie pod znakiem drogi. Z kempingu wyjechaliśmy o 7 i przez półtorej godziny jeździliśmy po Kasane w poszukiwaniu benzyny 95. Nigdzie jednak takiej nie mieli i w końcu musieliśmy zatankować 36 litrów bezołowiowej 93 (5.53 P za litr).

Na początku droga na południe, w stronę Naty, nie odbiegła od standardu, do jakiego zdążyliśmy się przyzwyczać. Jednak gdzieś w połowie dystansu na jezdni pojawiły się okropne dziury i ciągnęły się przez dobrych osiemdziesiąt kilometrów. Jazda po nich była trudna i powolna.

Koło 14 dotarliśmy do Gwety. Postanowiliśmy tu zanoć, mając nadzieję, że uda się nam załapać na jakąś zorganizowaną wycieczkę na pobliskie solnisko Makgadikgadi, którego niestety nie mogliśmy odwiedzić samodzielnie, jako że wymagało samochodu z napędem na cztery koła. Zakwaterowaliśmy się w Gweta Lodge (50 puli od osoby). Biali właściciele przybytku byli bardzo mili i nawet gotowi wypożyczyć nam odpowiednie auto, gdyby akurat wszystkie nie pojechały do Maun. Z wycieczek mogli nam zaoferować całodzienny wyjazd na inne solnisko, Ntwetwe, za 600 puli od osoby (wyjazd z noclegiem to 1000 puli). Nie zdecydowaliśmy się jednak na tę opcję, gdyż zależało nam przede wszystkim na zobaczeniu Makgadikgadi. Liczyliśmy też na to, że uda się coś zorganizować w Maun, mieście będącym głównym zagłębiem turystycznym Botswany.

Po południu nie za bardzo mieliśmy co robić, pochodziliśmy więc trochę po miasteczku. Z okazji nadchodzących wyborów odbywał się akurat jakiś festyn. Panowie sprawnie preparowali zwisające z drzewa tuszki zaś panie przygotowywały stoły. Wieczorem, już na kempingu, słyszeliśmy przemowy wygłaszane przez obwoźny megafon.

Dziś: 471 km

RAZEM: 7007 km

Dzień 21: Gweta → Maun

05.09.2009

Z Gwety wyjechaliśmy po 7, zatankowawszy najpierw 26 litrów benzyny (5.48 puli za litr). Droga do Maun wiodła pomiędzy rezerwatami Makgadikgadi i Nxai, jednak, biorąc pod uwagę krajobraz, nie należała do ciekawych. Ze zwierząt widzieliśmy tylko dwie żyrafy, parę kopytnych i trochę sępów. Muszę przyznać, że pod względem widoków Botswana nieco mnie rozczarowała. Nie ma nawet porównania z Namibią, gdzie malownicza sceneria zmieniała się co kilkadziesiąt kilometrów. Po drodze minęliśmy kontrolę weterynaryjną. Jej zadaniem jest oddzielenie terenów zamieszkałych przez zwierzynę dziką i udomowioną, w celu uniknięcia rozprzestrzeniania się chorób.

W Maun objechaliśmy trzy kempingi: Audi, Crocodile i Okavango, na wszystkich pytając o koszty dwóch zorganizowanych imprez: przejażdżki na lokalnych łodziach mokoro oraz jedno- lub dwudniowej wycieczki do rezerwatu

Moremi, słynnego z dużej ilości żyjących na jego terenie zwierząt. Niestety, ceny nie należały do niskich; zwłaszcza ta druga opcja była strasznie droga.

Pojechaliśmy więc do centrum, w nadziei, że uda nam się znaleźć jakąś agencję turystyczną i załatwić coś bez pośredników. Byliśmy nawet gotowi wypożyczyć na jeden dzień samochód z napędem na cztery koła, dzięki czemu do Moremi moglibyśmy pojechać niezależnie. Właściwie przez przypadek trafiliśmy do "Liquid Giraffe", prowadzonej przez białego pana w średnim wieku, Glena Stephensa. Opcja wynajęcia samochodu odpadła już na samym wstępie, gdyż rezerwację trzeba robić z dużym wyprzedzeniem. Z tego samego powodu nie moglibyśmy nocować na terenie Moremi - miejsca kempingowe zajmowane są przez agencje nawet na rok naprzód. A to odbierało sens wyjazdu z noclegiem. Ostatecznie Glen zaproponował nam jednodniową wycieczkę do rezerwatu za 1200 puli od osoby. Cena obejmowała wstęp do parku (120 puli) oraz lunch bez napojów. Było to niemal o połowę mniej, niż na kempingach, choć nadal na tyle drogo, by stanowić dotkliwy cios dla wyprawowego budżetu. Zdecydowaliśmy się jednak pojechać i Glen umówił nas na następny dzień z przewodnikiem, Grantem Craigiem z "Papadi Safaris", który miał przyjechać po nas na kemping o 6.30. Zaś teraz musieliśmy szybko biec do bankomatu.

Potem zaszliśmy do pobliskiego supermarketu "Shoprite" i kupiliśmy: colę (12.95P), 5-litrową wodę (za jedyne 9.95 P), dwulitrowy sok z guway (14.75 P) i chleb (4.95 P). Doszłam do wniosku, że jedzenie i kempingi są w Botswanie tańsze niż w Namibii, co mnie zaskoczyło, gdyż spodziewałam się akurat odwrotnej sytuacji.

Postanowiliśmy nocować na kempingu Audi (47 puli od osoby) i, ze względu na jutrzejszą wycieczkę, zostać tutaj dwie noce. Około 15 pojechaliśmy na przejażdżkę po okolicach Maun. Najpierw odwiedziliśmy miejski rezerwat, w którym jednak nie widzieliśmy ani jednego zwierza (na szczęście wstęp był bezpłatny), a potem oddaloną 14 kilometrów od centrum farmę krokodyli (wstęp 20 puli). Wyglądała ona podobnie do tej, którą oglądałam w Etiopii, przeznaczenie hodowli było zresztą takie samo: skóry. Oprócz kilku zbiorników z młodymi gadami w różnym wieku znajdował się tu także ogrodzony wybieg dla wielkich samic. Były ogromne i naprawdę przerażające, o okrutnych, żółtych oczach i pyskach skrwawionych po niedawnym obiedzie

W drodze powrotnej kupiliśmy sześć bułek (6.5 puli) oraz jeszcze jeden sok owocowy (9.45 puli), gdyż bardzo nam one posmakowały. Tym razem odwiedziliśmy supermarket "Choppie", który okazał się tańszy niż "Shoprite". Potem w sklepie alkoholowym zaopatrzyliśmy się w trzy różne piwa, kosztujące po około 11.75 puli za sztukę: Hansa Pilzner, St. Louis i Castle. Widzieliśmy też plakaty kolejnych kandydatów w nadchodzących wyborach. W Maun są to Frank J. Ramsden oraz kolejny Duncan, tym razem o nazwisku Enga. Również tutaj jeżdżą samochody z megafonami i agitacja trwa.

Wieczorem, gdy siedzieliśmy przy stoliku przed namiotami, podeszli do nas dwaj kampingowi strażnicy i ostrzegli, żeby zamykać na noc samochód, bo przez ogrodzenie mogą wejść "kryminaliści" i coś ukraść.

Dziś: 330 km

RAZEM: 7337 km

Dzień 22: Maun → Rezerwat Moremi → Maun

06.09.2009

Kiedy wstawaliśmy za pięć szósta, było jeszcze ciemno. Bez konieczności pakowania namiotów zebraliśmy się szybciotko i do 6.20 zdążyliśmy nawet zjeść po bułce i wypić herbatę. W tym czasie zupełnie się rozwidniło.

Równy o 6.30 przyjechał Grant, biały, starszy pan mieszkający w Botswanie już od dwudziestu lat. Samochód, którym mieliśmy podróżować, był odkryty i niemal taki sam jak ten z Chobe, w związku z czym strasznie na nim zawiewało i po pięciu minutach przemarzłam do szpiku kości. Na szczęście Grant zaprosił mnie do kabiny kierowcy.

Do bramy rezerwatu Moremi dotarliśmy o 8.30. Słońce było już na tyle wysoko, by zrobiło się ciepło, wróciłam więc "na pakę". Na początku wycieczka zapowiadała się obiecująco. Zwierzyna pojawiała się jeszcze przed wjazdem na teren parku, zaś tuż za bramą natknęliśmy się na grupę żyraf i impale. Potem jednak wjechaliśmy w las i zrobiło się po prostu nudno. Dookoła same drzewa i ani jednego zwierza.

Po jakieś godzinie dojechaliśmy nad jezioro Xini Lediba, otoczone malowniczymi, zielonymi łąkami. Na jednej z wysepek leżało stadko kob liczi, gatunku antylop, które występują tylko tutaj. Pod krzakiem po drugiej stronie jeziora Grant wypatrywał dużego lwa. Kocisko spało w cieniu i widać było tylko jego ciemny zarys. Potem przez jakiś czas krążyliśmy po zupełnym bezdrożu i w końcu udało nam się zobaczyć z bliska samotnego leoparda. Okazało się, że Grant miał wpisane w GPS-ie lokalizacje miejsc, w których widział kiedyś jakieś zwierzęta, i teraz po prostu je sprawdzał. Po powrocie nad Xini Lediba dojrzeliliśmy na przeciwległym brzegu jeziora skrytą w płowych trawach lwicę, towarzyszkę samca spod krzaka. Niby fajnie, a jednak po trzech godzinach jazdy spodziewaliśmy się znacznie więcej. Po opisie z przewodnika oczekiwaliśmy w Moremi istnego zatrzęsienia zwierząt, z bawołami włącznie. A tymczasem oczka wodne świeciły pustkami, zaś przy drodze nie było nikogo. Tak więc w połowie dnia czuliśmy się już mocno rozczarowani.

Na lunch (bułki z serem i wędliną) zatrzymaliśmy się na kempingu Third Bridge Camp. W pobliskim stawie mieszkały hipopotamy, na trawie leżało pełno słoniowych kup, zaś tablice informacyjne ostrzegały przed krokodylami i

nosorożcami. Ponoć w nocy kamping odwiedzały lwy. Żałowaliśmy, że nie możemy tu obozować. Intrygowało mnie tylko, czy namioty rozbija się na ziemi, czy też trzeba mieć ze sobą takie specjalne, mocowane na dachu samochodu.

Ledwo wyjechaliśmy z kampingu, Grant wypatrył pod drzewem stado lwów: dwa samce i dwie samice. Kociska były najedzone tak, że aż zaokrągliły im się brzuchy, na nic nie zwracał uwagi i drzemały, syte i zadowolone. Samica położyła się na plecach z łapami w górze, samce leżały na boku, dotykając się nosami. W pewnej chwili jeden obudził się, wstał, rozejrzał dookoła, po czym znów poszedł spać. Z pobliskiej kępy trawy dobiegało co jakiś czas groźne porykiwanie. To lew-strażnik upolowanej zdobyczy odganiał sępy, które zgromadziły się tłumnie na gałęziach kociego drzewa.

Kolejną atrakcją były słonie. Jedno stadko przeszło beztrąsko przez pas startowy (tak, tak, do rezerwatu można dolecieć awionetką), drugie tarzało się z zapamiętaniem w błotnistej kałuży. Taka kąpiel skutecznie zabija insekty, w związku z czym jest przez słonie bardzo ceniona. Zwłaszcza młode dokazywały jak szalone, z wyraźną radością babrając się w błocku..

Niestety, na tym oglądanie zwierzyny się skończyło. Jak na tak rozreklamowany rezerwat to albo mieliśmy okropnego pecha, albo zwierząt wcale nie jest tak dużo, jak się to powszechnie mówi i pisze w przewodnikach. Może też byliśmy już trochę zepsuci Etoszą i Chobe, spodziewaliśmy się jednak znacznie więcej i generalnie czuliśmy się wyjazdem mocno rozczarowani. Zwłaszcza, że był taki drogi.

W drodze powrotnej z szutru strasznie się kurzyło, musiałam więc zakryć twarz chustką, jak to często robiłam w Kambodży. Na kamping dotarliśmy tuż po zachodzie słońca. Zdecydowaliśmy, że jutro rano wyjeżdżamy z Maun i jedziemy na samą północ kraju, nad rzekę Okavango, gdzie wyprawy na łodziach mokoro są ponoć znacznie tańsze.

Dziś: 0 km

RAZEM: 7337 km

Dzień 23: Maun → Sepupa

07.09.2009

Wstaliśmy po 7, zjedliśmy śniadanie i o 8 wyjechaliśmy z kampingu. Nie musieliśmy się spieszyć, gdyż na dojazd nad Okavango mieliśmy cały dzień. W centrum handlowym wyjęliśmy pieniądze z bankomatu (300 puli) oraz kupiliśmy prowiant w supermarkecie "Choppie": dżem (20 P), parówki (8.95 P), keczup (10.95), dwie półkilowe paczki makaronu (7.90 i 9.90), dwupak serków

(22.90 P), colę (12.95) i ciasteczka (3.50). Zatankowaliśmy też 32.5 litra benzyny za 5.53 puli/litr.

Osiemnaście kilometrów za Sehitwą (czyli jakieś sto kilkanaście za Maun) w samochodzie pękła opona. Tomek założył zapasową, ale oznaczało to, że nie mamy już żadnego koła na zmianę. Absolutnie nie mogliśmy tak jechać, a że w żadnej z mijanych miejsc nie było wulkanizacji, musieliśmy wracać do Maun. Tam okazało się, że uszkodzenia nie da się naprawić i trzeba zaopatrzyć się w nową oponę. Znalezienie odpowiedniego warsztatu nie było jednak proste i dość długo błądziliśmy po mieście, nim w końcu, kierując się instrukcjami pań z biura podróży i wypożyczalni samochodów, trafiliśmy do Maxi Tyres, gdzie kupiliśmy nowiutkie koło za 550 puli (taniej, niż w Namibii). Na to wszystko zeszło nam jednak strasznie dużo czasu i kiedy w końcu byliśmy gotowi do definitywnego opuszczenia Maun, zrobiła się 14. Po drodze trzeba było jeszcze odwiedzić bankomat (tym razem 200 puli) i zatankować 22 litry benzyny. Już wyjeżdżając z miasta zatrzymaliśmy się przy małym sklepie i kupiliśmy chleb (6.95 P) oraz małe pączuszki, przypominające etiopskie bombonilo (0.5 puli sztuka).

Przemierzana po raz drugi w dniu dzisiejszym droga była straszliwie nudna. Jedyłą (trzeba przyznać, dość zaskakującą) atrakcją okazały się małe tornada. Najpierw coś uderzyło niespodziewanie w samochód, zasypując przednią szybę piaskiem i liśćmi. Potem zobaczyłam z daleka czarną, wąską rurkę, unoszącą się wysoko do góry i łagodnie wyginającą. W pierwszej chwili wzięłam ją za słup dymu. Kiedy jednak zrozumiałam, że to klasyczna trąba powietrzna, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Podczas dalszej jazdy widzieliśmy kolejne niewielkie tornada, zaś tuż przed Gumare kilkanaście metrów przed nami uformowała się nagle duża, biała trąba, uderzyła w ziemię tuż przy drodze, przetoczyła przez asfalt i rozwiąła w nicłość Niesamowity widok.

W wiosce Etsha okazało się, że kamping Makwena Lodge, na którym chcieliśmy nocować, został zlikwidowany. Musieliśmy więc jechać dalej na północ i o 18 dotarliśmy do Sepupy. Tam zatrzymaliśmy się w Sepupa Swam Stop za 75 puli od osoby. Choć biwak położony był nad rzeką, bliskich spotkań z hipopotamami raczej nie należało się spodziewać. A szkoda, bo w miarę upływu czasu nocne ryki z Ngepi stawały się jednym naszych najprzyjemniejszych wspomnień.

W recepcji dowiedzieliśmy się, że wyprawy na łódkach mokoro kosztują 350 puli od osoby i wypływają z Serongi na drugim brzegu rzeki. Zorganizowany transport kosztowałby 1200 puli, więc nawet się nad nim nie zastanawialiśmy. Tym bardziej, że według przewodnika do przystani mokoro miał kursować z Sepupy tani prom. Niestety, okazało się, że w tym roku został zlikwidowany, jedynym rozwiązaniem pozostawało więc dotarcie do Serongi samochodem. W tym celu musieliśmy się jednak przeprowić przez rzekę w Mohembo, tuż pod granicą namibijską. Uznaliśmy, że w tej sytuacji powrót do

centralnej Botswany, który na początku planowaliśmy, jest tylko stratą czasu. Jutro wracamy więc do Namibii i ruszamy w kierunku płaskowyżu Waterberg znaną nam już drogą przez Rundu i Grootfontein.

Dziś: 612 km

RAZEM: 7949 km

Dzień 24: Sepupa → Seronga → Ngepi

08.09.2009

Wstaliśmy o 6.20 i o 7 wyjechaliśmy z kempingu. W recepcji nikogo jeszcze nie było, pieniądze zostawiliśmy więc pod telefonem. Do Shakawe dotarliśmy na 8. W miejscowym "Choppie" kupiliśmy colę i smaczne bułeczki drożdżowe. Zatankowaliśmy też 35 litrów benzyny po 5.60 P/litr. O 8.20 pojechaliśmy dalej. W pobliskim Mohembo, tuż pod granicą z Namibią, załadowaliśmy się na bezpłatny prom przez rzekę Okavango. O 8.40 dobiliśmy do brzegu i wyruszyliśmy do Serongi. Licząc 120 kilometrów trasę przejechaliśmy w dwie godziny, gdyż szutrowa droga była bardzo piaszczysta i trzęsąca. W jednej z mijanych wiosek widzieliśmy smutny obrazek: zabitego słonia, sądząc po wielkości dość młodego, leżącego na skraju drogi. Otaczał go tłum miejscowych, wśród nich policjant.

W Serondze byliśmy o 10.40 i od razu pojechaliśmy na kemping Mbiroba, prowadzony przez Stowarzyszenie Wioślarzy Okavango, które organizowało przejażdżki mokoro po cenach niższych niż w Maun. Słowo wioślarz nie do końca oddaje charakter pracy członków stowarzyszenia, bowiem łódkę wprawiają w ruch nie wiosłem, a odpychanym od dna drągiem.

Ku naszemu niemiłemu zaskoczeniu okazało się, że 350 puli od osoby, o których mówiono nam wczoraj w Sepupie, to połowa ceny za całą łódkę. Dla nas trojga potrzebowaliśmy jednak dwóch mokoro, tak więc w sumie powinniśmy zapłacić po 467 puli. Trochę nas to zmartwiło, ale skoro już się tu dopchaliśmy, nie było sensu rezygnować. Co prawda okazało się, że w związku z tym mieliśmy za mało miejscowej waluty i resztę trzeba było dopłacić w dolarach. Na szczęście nie stanowiło to problemu, zaś dziewczyna z recepcji, z pochodzenia Zimbabwanka, opuściła nam przy okazji trochę cenę, tak że ostatecznie zapłaciliśmy po 434 pule.

Ponieważ jeszcze dziś chcieliśmy się dostać do Namibii (a granicę zamykano o 18), zależało nam na pośpiechu. Tymczasem musieliśmy czekać, aż na ciężarówkę, która miała nas zawieźć nad rzekę, załaduje się grupa Hiszpanów z górą bagaży i prowiantu. Wyruszyliśmy więc dopiero o 11.30. Droga do przystani zajęła kolejnych dwadzieścia minut. Na szczęście po

dotarciu na miejsce już bez zbędnej zwłoki załadowaliśmy się do łódek i w samo południe, w niemiłosiernym żarze, wyruszyliśmy na rozlewiska.

Żegluga była przyjemna, a woda płytka, przejrzysta i aż kusiała kąpielą. Dookoła rosły całe zagony zielonych trzcin. W pewnym momencie musieliśmy przepłynąć skrajem dość sporego obszaru otwartej wody, w którym rezydowały dwa hipopotamy. Widzieliśmy tylko ich uszka, ale w pewnej chwili jeden ze zwierząt wynurzył się nad powierzchnię z całą głową, z wyraźnym zamiarem odstraszenia łódki, która podплыnęła z drugiej strony.

O 13.20 zatrzymaliśmy się na brzegu rozległej wyspy i odbyliśmy 15-minutowy spacer wśród wysokich, ostrych traw. Po drodze widzieliśmy samotnego słonia oraz przetartą w trzcinach ścieżkę, którą wychodzą z wody hipopotamy. Przy okazji dowiedzieliśmy się od jednego z wioślarzy, że miejscowi zabijają czasem słonie, gdy te wchodzi w szkodę. Najwyraźniej taki właśnie los spotkał nieszczęśnika, którego widzieliśmy w drodze do Serongi.

Upał był niemiłosierny, a my mieliśmy tylko jedną butelkę z resztką Coli na dzień. Kiedy z powrotem wsiedliśmy do łódek, tak bardzo usychałam z pragnienia, że rozważałam, czy nie pójść w ślady wioślarzy i nie napić się wody bezpośrednio z rzeki. Ale w końcu nie odważyłam się.

W drodze powrotnej znowu przecięliśmy akwen hipopotamów i tym razem obydwie stwory były już wyraźnie rozżłoszczone. Wynurzały się z wody, ryczały donośnie i ewidentnie przesuwwały w naszą stronę. Wioślarze dwoili się i troili, żeby jak najszybciej minąć zagrożony teren..

O 14.45 byliśmy z powrotem na brzegu. Niestety, aż do 15.30 czekaliśmy na ciężarówkę, która miała zabrać nas oraz sporą grupę starszych turystów z powrotem na Mbirobę. Na kempingu byliśmy więc dopiero o 15.50 i równo o 16 wyruszyliśmy do Mohembo. Tym razem, ścigając się z czasem, jechaliśmy dużo szybciej i przy promie byliśmy o 17.20. Mijając martwego słonia zobaczyliśmy, że przez te kilka godzin został on w dużej mierze zutilizowany: skórę oraz sporą część mięsa wycięto.

Na prom czekaliśmy dziesięć minut, a że do granicy zostało jeszcze kilka kilometrów, do ostatniej chwili nie było pewne, czy zdążymy. Dotarliśmy tam o 17.50. Formalności załatwiliśmy ekspresowo i, jako ostatni podróżni, o 17.57 wjechaliśmy do Namibii. Ledwie minęliśmy granicę i znaleźliśmy się na terenie rezerwatu Mahango, pojawiły się zebry i żyrafy. Dziwne, że w pełnej ponoć zwierząt Botswanie tak rzadko widywaliśmy podobne obrazki.

Na pierwszym kempingu, na który zajechaliśmy, Mahangu, nie było miejsc, tak więc ostatecznie trafiliśmy na nasz ulubiony Ngepi, choć ostatni etap drogi musieliśmy pokonywać już po ciemku. Jazdę utrudniała dodatkowo wisząca nad szutrem biała, gęsta chmura pyłu. Ponownie dostaliśmy miejsce nad samą rzeką i ledwo rozbiliśmy namioty i zasiedliśmy do herbaty, zaczęły ryczeć hipopotamy. Dla uczczenia powrotu do Namibii kupiliśmy sobie po piwie. Kosztowało 12 N\$ za butelkę i zostało dopisane do rachunku.

Dziś: 321 km
RAZEM: 8270 km

Dzień 25: Ngepi → Waterberg

09.09.2009

Wstaliśmy dziś o 5.30 i ze zdumieniem odkryliśmy, że jest już widno, a czerwone słońce właśnie wynurza się znad zarośli po drugiej stronie rzeki. Za nocleg zapłaciłam kartą kredytową, gdyż nie mieliśmy namibijskiej waluty. O 6.10 wyruszyliśmy z kempingu, zatrzymaliśmy się na chwilę w Divundu, żeby kupić colę (17 N\$), i zaraz pojechaliśmy dalej, znaną nam już drogą B8. W Rundu podjęliśmy pieniądze z bankomatu (500 N\$) i zatankowaliśmy 49.5 litra benzyny (7.07 N\$/litr). Pogoda była dziwna i raczej męcząca: niby słonecznie, ale jednocześnie tak jakoś mgliście. Do Grotfontein dotarliśmy na 12.30. W supermarkecie kupiliśmy trzy rodzaje kiełbasek na wieczorne grillowanie, (około 17 N\$ za paczkę), sok, słodkie bułki z nadzieniem orzechowym (3.5 N\$ sztuka) i croissanty (1.85 N\$ sztuka).

Na płaskowyż Waterberg jechaliśmy mało ciekawymi drogami szutrowymi: C42 i C22, których jedyną atrakcją były spore ilości guźców wałęsających się po poboczu. Na miejscu byliśmy o 16. Nocleg na kempingu NWR okazał się dość drogi (100 N\$ od osoby plus 100 N\$ za miejsce), do tego musieliśmy zapłacić po 80 N\$ za wstęp do parku narodowego. Waterberg to ostatnie miejsce na trasie wyprawy, w którym mieliśmy możliwość zobaczenia dzikich zwierząt (między innymi nosorożców), zdecydowaliśmy się więc pojechać jutro rano na zorganizowaną wycieczkę po płaskowyżu (450 N\$ od osoby). Wyjazd miał się zacząć o 7.

Wieczorem grillowaliśmy kiełbaski i doszliśmy do wniosku, że jednak bardziej smakuje nam makaron. Drewno na opał kupiliśmy w kempingowym sklepiku (25 N\$), ale nie wykorzystaliśmy całego i połowa została nam na jutrzejsze pożegnalne ognisko.

Dziś: 791 km
RAZEM: 9061 km

Dzień 26: Waterberg → Góry Erongo → Spitzkoppe

10.09.2009

Wstaliśmy dziś o 6.20, spakowaliśmy namioty i o 6.45 byliśmy w recepcji. Powiedziałam, że jesteśmy zapisani na wycieczkę na płaskowyż i że

chcielibyśmy za nią zapłacić. Dziewczyny popatrzyły na nas dziwnie i odparły, że przecież wycieczka już wyjechała. Ze zdumienia niemal wrosliśmy w ziemię: jak to - przecież nie było jeszcze siódmej! I wtedy okazało się, że podczas naszej nieobecności w Namibii lokalny czas został przesunięty o godzinę. Tak więc niepotrzebnie cofnęliśmy zegarki przy powrocie z Botswany i przez cały dzień żyliśmy w błogiej nieświadomości, że jesteśmy o godzinę do tyłu.

Cóż było robić. Poszliśmy na przechadzkę na punkt widokowy na szczycie masywu, a po 9 opuściliśmy Waterberg, zatankowawszy jeszcze 26 litrów benzyny po 7 N\$/litr. Najpierw pojechaliśmy do Otjiwarongo (drogami C22 i B1), ładnego, pełnego białych miasteczka w stylu bardziej skandynawskim niż afrykańskim. W znakomicie zaopatrzonej supermarkecie kupiliśmy duży placek z grzybami (10.95) i colę (12.95 N\$). Zatankowaliśmy też kolejne 35 litrów benzyny. W związku z tymi wydatkami musieliśmy ponownie odwiedzić bankomat i pobrać po 500 N\$ na osobę.

Z Otjiwarongo pojechaliśmy na południe asfaltową drogą C33. Na wysokości Kalkfeld skręciliśmy w szutrowe D2414 i D2467, prowadzące na farmę, na terenie której można obejrzeć trójpalczaste odciski stóp dinozaurów. Wstęp kosztował 20 N\$ od osoby. □lady nie były może zbyt duże, niemniej jednak ciekawe, zaś okolica bardzo malownicza. Na zakończenie wizyty, o 13, zjedliśmy bardzo późne śniadanie.

Następnie drogą D2329 dojechaliśmy do Omaruru, skąd asfaltową C33 dotarliśmy do położonego pięćdziesiąt kilometrów na południe Karibib. Tam skręciliśmy w B2 w stronę wybrzeża i po kilkunastu minutach byliśmy w Usakos. Tuż za miastem szutrowa droga D1937 wiedzie na północ, ku malowniczym Górom Erongo. Ich najciekawszą część, czyli jaskinię Philipsa oraz interesujące formacje skalne Głowy Słonia i Zgromadzenia Byków, można obejrzeć z terenu prywatnego rancza Ameib. Wstęp kosztuje 50 N\$. Okolice była naprawdę urokliwa, zwłaszcza w popołudniowym świetle, które nadawało skałom piękny, pomarańczowo-brązowy kolor.

W Erongo zabawiliśmy się aż do 18 i kiedy znowu znaleźliśmy się na drodze, słońce chyliło się już ku zachodowi. Nim wróciliśmy do Usakos, nim kupiliśmy w miejscowym sklepiku sok z mango (19.50) i wodę mineralną o smaku liczi (12 N\$), zrobiła się 18.30.

Droga B2 wiodła teraz prosto na zachód, mogliśmy więc podziwiać czerwoną kulę słońca, która z wolna chowała się za horyzont. Miał to być ostatni taki widok w trakcie wyprawy. O 19 skręciliśmy w D1918, a po kolejnych siedemnastu kilometrach w D3716, w stronę dwóch wierzchołków masywu Spitzkoppe.

Już po ciemku minęliśmy wioskę Groot Spitzkoppe i dotarliśmy do bramy kempingu. Nocleg kosztował 45 N\$ od osoby i 5 N\$ za samochód. Dookoła było ciemno jak oko wykol i wyglądało na to, że oprócz nas nie ma tu innych turystów. Zaczęliśmy szukać miejsc biwakowych, krążąc po ciemku po dość trudnej drodze u podnóża masywu Spitzkoppe, jednak nigdzie nie było nic, co

choć trochę przypominałoby zorganizowany obóz. Wreszcie pod samotną skałą dostrześliśmy małe ognisko. Domyśliliśmy się wówczas, że znaleźliśmy się na "kempingu naturalnym", gdzie namioty można rozbijać w dowolnie wybranym miejscu. Potwierdzili to mili starsi państwo od ogniska, których poszliśmy zapytać o radę.

Po krótkich poszukiwaniach wybraliśmy na nocleg ładną łączkę pod wysoką, pionową skałą. Oczywiście, nie było tu ani ujęcia wody, ani tym bardziej łazienek, ale w ogóle nam to nie przeszkadzało. Rozpaliliśmy ognisko a nad głowami mieliśmy rozgwieżdżone niebo. Przyjemny akcent na zakończenie wyprawy.

Dziś: 509 km

RAZEM: 9570 km

Dzień 27: Spitzkoppe → Okahandja → Windhoek

11.09.2009

Jasno zaczęło się robić dopiero przed 7. Słońce wzeszło na czerwono. Dopiero teraz, w blasku poranka, mogliśmy w pełni docenić urok naszego miejsca kempingowego.

Ponieważ jutro mieliśmy oddać samochód, posprzątaaliśmy go na tyle, na ile się dało, potem zrobiliśmy sobie na jego tle zdjęcie i o 8 wyruszyliśmy w drogę. Na początek pokrzyżaliśmy trochę po masywie Spitzkoppe i przy okazji odkryliśmy wiele innych miejsc biwakowych, a także toaletę. Potem ruszyliśmy z powrotem w stronę drogi B2. Trasa wiodła przez rozległą sawannę, porośniętą wysoką, żółtą trawą. Krajobraz aż prosił się o stada strusi, ale niestety żadnego nie widziałam.

W Usakos kupiliśmy sok z mango i wodę z liczi, które wczoraj bardzo nam posmakowały, a także bułki na śniadanie. W Karibib zatankowaliśmy 20 litrów benzyny (po 7N\$) i kilka kilometrów za miastem zatrzymaliśmy się na śniadanie "pod drzewem". Dalsza podróż do Okahandji była dość męcząca, gdyż na bardzo długim odcinku drogi trwały roboty i poszerzanie jezdni, w związku z czym nie mogliśmy jechać zbyt szybko.

W Okahandji naszym celem były słynne tragi pamiątkarskie. Zakupy okazały się bardzo przyjemne, gdyż można, a wręcz trzeba było się targować, zaś sprzedawcy oddawali się temu rytuałowi z prawdziwym zaangażowaniem. Kupiłam wysoką na ponad metr drewnianą żyrafę (220 N\$ sztuka, cena wyjściowa 600 N\$) oraz rzeźbioną ozdobę z afrykańską "Wielką Piątką": lewem, leopardem, nosorożcem, słoniem i bawołem (60 N\$, cena wyjściowa 180 N\$). Na zakończenie wytargowałam drewnianego hipopotama dla Agi i Tomka.

Kolejnym obowiązkowym przystankiem był bankomat, gdyż na pamiątki wydałam wszystkie pieniądze. A potem trafiliśmy na kolejny targ, gdzie kupiłam jeszcze długą, drewnianą maską (za 100 N\$, przy wyjściowej cenie 380 N\$0).

O 13 zdecydowaliśmy, że kończymy z pamiątkami, było jednak jeszcze wczesnie, a nam nie chciało się wracać do Windhuk. Pojechaliśmy więc do pobliskiego Gross Bremen. Wstęp na teren kurortu oraz kąpiel w gorących źródłach kosztowałyby 90 N\$ od osoby plus 40 N\$ za samochód, ostatecznie zrezygnowaliśmy więc z tej przyjemności, wróciliśmy do Okahandji, a stamtąd drogą B1 ruszyliśmy już prosto do stolicy. Trasa była okropnie zatłoczona i w obie strony ciągnęły sznury samochodów.

W Windhuk pojechaliśmy prosto do hostelu "Puccini House" i zaklepaliliśmy sobie nocleg w ładnym trzyosobowym pokoju. W cenę - 450 N\$ za nas wszystkich - wliczone było śniadanie, mogliśmy też korzystać ze świetnie wyposażonej kuchni. Hostel znajdował się bardzo blisko centrum, niemal naprzeciwko domu towarowego Wernhill

Zostawiliśmy bagaże, zatankowaliśmy za 100 N\$ i pojechaliśmy do rezerwatu Daan Viljoen, chcąc na pożegnanie obejrzeć jakieś zwierzaki. Wstęp kosztował 30 N\$ od osoby i 10 N\$ za auto. Zwierzęta nie dopisały; widzieliśmy jedynie trochę gnu i jednego oryksa. Generalnie wyprawa nie była warta zachodu, zwłaszcza, że wyboista i miejscami bardzo stroma droga przez wzgórze wymagała chyba samochodu z napędem na cztery koła i nasza Toyota ledwo ją pokonała. Jediną zaletą Daan Viljoen był roztaczający się niego ładny widok na miasto.

Po 17 byliśmy z powrotem w Puccinim i, zostawiwszy samochód, poszliśmy do centrum. Trochę pospacerowaliśmy po ulicy Independence, a potem zasiedliśmy w restauracji przy deptaku Post St Mall, chcąc uczcić zakończenie wyprawy jakimś miejscowym daniem. W lokalu pełno było białych, zwłaszcza Niemców, w związku z czym kelner zwrócił się do nas najpierw po niemiecku, a dopiero potem po angielsku. Ja zamówiłam wielki sznycel z serem i frytkami (67 N\$), zaś Agnieszka i Tomek dania jarskie (około 55 N\$). Naprawdę miło było zjeść mięso po czterech tygodniach diety makaronowej.

Do hotelu wróciliśmy już po zmroku, o 19. Ugotowaliśmy na deser resztkę makaronu i zjedliśmy go z dżemem. Potem trzeba było przepakować plecaki i pozabezpieczać pamiątki. Nim się z tym uporaliśmy, zrobiła się 22.

Dziś: 416 km

RAZEM: 9986 km

Dzień 28: Windhoek

12.09.2009

Wstaliśmy o 7 i poszliśmy na śniadanie, licząc, że o tej porze w jadalni nie będzie tłoku. Gdzież tam! W sali zjawili się chyba wszyscy goście hostelu. Posiłek był obfity i różnorodny, mogliśmy wybierać w różnych rodzajach płatków, dwóch smakach jogurtów, tostach, serze, wędlinie, warzywach i owocach. Były też oczywiście kawa i herbata.

Po posiłku przenieśliśmy plecaki i żyrafy na przechowanie do ogródkowej komórki, po czym pojechaliśmy do Siergieja oddać samochód. Na miejsce dotarliśmy o 8.20. Brama i dom były zamknięte na głucho, nikt też nie odpowiadał na dzwonek ani trąbienie. W końcu, po kilkunastu minutach oczekiwania, Tomek zatelefonował do Siergieja na komórkę. Dopiero wtedy właściciel Toyoty dał znak życia. Okazało się, że jeszcze spał i prosił, abyśmy przyjechali za godzinę.

Wróciliśmy więc do centrum i pochodziliśmy trochę po sklepach. Ceny ulicznych pamiątek były wyższe niż w Okahandji, a sprzedawcy nie za bardzo chcieli się targować. Przyznawali jednak, że to dlatego, że sami się w Okahandji zaopatrują. Ostatecznie kupiłam w sklepie kolczyki za 20 N\$.

Po 10 byliśmy z powrotem u Siergieja. Wbrew naszym obawom w ogóle nie przeglądał samochodu, rzucił nań tylko okiem, spytał, czy nic się nie działo i bez szemrania zwrócił nam 680 N\$ za oponę, którą musieliśmy kupić w Botswanie. Po czym powiedział, że możemy zabrać Toyotę i jeździć nią do południa, kiedy to Elena miała nas odebrać z hotelu Puccini i zawieźć na lotnisko. Tak więc generalnie z wynajmu w firmie "Elena Travel" byliśmy bardzo zadowoleni.

Jeszcze raz zajechaliśmy do centrum, by Tomek mógł kupić pamiątkową koszulkę. Po powrocie do hotelu w wielkim pośpiechu przebraliśmy się w ubranie podróżne. Równo w południe przyjechała Elena i już o 12.40 byliśmy na lotnisku. Ledwo weszliśmy do hali odlotów (objuczeni plecakami i żyrafami), zaczęli do nas machać panowie z punktu opakowywania bagażu, po czym szybko i sprawie owinęli nasze rzeźby w gazety i folie (70 N\$).

Wystartowaliśmy o 15, równo o czasie. Tomek, który siedział przy przejściu, pełnił rolę strażnika żyraf i pilnował, żeby inni pasażerowie nie uszkodzili ich swoimi bagażami. Nad Namibią zalegała dziś lekka mgiełka, tak więc z samolotu niewiele było widać.

Ku naszej wielkiej radości plecaki nigdzie po drodze nie zaginęły. W Johannesburgu szybko i sprawnie przemieściliśmy się na terminal odlotów, odprawiliśmy się, po czym już tylko czekaliśmy na odlot, zabijając czas wizytami w sklepie z pamiątkami, pełnym żyraf najprzeróżniejszej wysokości.

Podróż do Zurychu minęła zadziwiająco szybko. Na przesiadkę nie miałam zbyt wiele czasu (Aga i Tomek lecieli dopiero za trzy godziny), a że odległość między terminalami była spora, a do tego po drodze trzeba było przejść przez szereg kontroli, ledwo zdążyłam na samolot.

Po dwóch godzinach wylądowałam w Polsce i wyprawa dobiegła końca.

Dziś: 31 km

RAZEM: 10017 km